



Krajobrazy Słowa

Pokłosie
XXIII Konkursu Literackiego

Kędzierzyn-Koźle 2016



XXIII Konkurs literacki

Krajobrazy Słowa

Antologia poezji i prozy laureatów konkursu literackiego



Kędzierzyn-Koźle 2016

Honorowy Patronat



Prezydenta Miasta Kędzierzyn-Koźle



Marszałka Województwa Opolskiego

Projekt logotypu „Krajobrazy Słowa”

Leszek Ołdak

Opracowanie graficzne i projekt okładki

Dariusz Herbowski

Opracowanie redakcyjne i korekta

Jan Andrzej Fręś

ISBN 978-83-941650-1-7

**Wydano nakładem Miejskiej Biblioteki Publicznej
w Kędzierzynie-Koźlu**



SPIS TREŚCI

Wstęp

Karol Maliszewski – Szukanie owoców i inne czynności	7
--	---

Antologia

Lidia Karbowska – godło „nenia”	11
Łukasz Staniszewski – godło: „Łukasz Zapalka”	21
Edyta Wysocka – godło: „Lustro”	35
Dina Staszak – godło: „Musztardowa”	45
Genowefa Światłoń – godło: „Enta para butów”	61
Hanna Dikta – godło: „zwrotnik koziorożca”	73
Marzena Jaworska – godło: „Kaszkieta”	85
Ida Sieciechowicz – godło: „Ski Ba Bop”	91
Katarzyna Zychła – godło: „tasiemka”	97
Urszula Kopeć-Zaborniak – godło: „mechanik rzeczywistości” ...	103
Kamil Kwieciński – godło: „fińska palma”	109



WSTĘP

„Szukanie owoców” i inne czynności

Dlaczego czytam tak, jak czytam i skąd potem ta, a nie inna ocena tekstu... Do takich pytań wraca się przy okazji każdego odbioru dzieła literackiego. A już szczególnie intensywnie krążą one w związku z czytaniem nastawionym na przydzielanie punktów. Krążą i nie dają spokoju do końca, do ogłoszenia werdyktu, będącego tegoż odbioru kwintesencją. Przyjeżdżamy na obrady z określonym profilem, dokonaliśmy w drodze jakiegoś wyboru. Potem dochodzi do mediacji: Marta Fox, Krzysztof Siwczyk i niżej podpisany musieli się dogadać w kwestii wspólnego wyboru, czyli wypośrodkować odbiór. A to wszystko jeszcze bardziej skomplikowane, niż tu mi się lekką ręką pisze.

Teraz do rzeczy, pamiętając o określających tę rzecz metodologicznych i psychologicznych kłopotach. W tym roku również odnieśliśmy wrażenie, że rozkwita proza, natomiast nadesłana poezja doskonale mieści się w modnych ostatnio konwencjach. Proza szuka, zaskakuje, poezja umacnia się w wypracowanych technikach, zamiera. To zapewne doraźne zjawisko, cisza przed kolejną burzą, przed wybuchem. Ale nawet z tej chwilowej zapaści dało się wybrać nader interesujące okazy. Marzena Jaworska opowiada o zamkniętym świecie, z którego on i ona próbują wydostać się, każde na swój sposób; silniejszy głos wydaje się jednak należeć do

kobiety. To ona dobiera słowa, stwarza sytuacje liryczne, reżyseruje iluzję całości. W każdym razie wiersze po coś są, choćby po to, żeby „przebić się na drugą stronę”. Ida Sieciechowicz rozszerza pole widzenia, dorysowuje dalsze piętra. Ponad rytuałami zakleszczonej codzienności wznosi się coś jeszcze. Gmach języka okazuje się labiryntem. Pytania o „siebie samą”, zaplątaną w mechanizmach (fabrykach) ekspresji, rozpoczynają ten seans – bezradna tożsamość staje naprzeciw mamiącego, nienaturalnie mieniającego się języka, a właściwie języków. Już nie widać bohaterki, jej samotności (samotnej istotności) – wszystko ma się rozplýwać, rozpadać i na nowo na moment powstawać w akcie wypowiedzenia; zaś czytelnicy są na chwilę „Wpuszczani do środka. Przekornie na ciemno. Jakby za szkłem kontaktowym / połączeni zbliżonym obrazem”.

Blżej tradycyjnej konfesji sytuują się utwory Katarzyny Zychli. Wiersz służy rozpamiętywaniu przypadków życia, układaniu ich ponownie podczas pracy pamięci mozolącej się nad poczuciem sensu. Liryka bierze się „z krwi” (to ona pulsuje w zdaniach), a słowa zszywa się ze sobą czy wyplata, tworząc „makaty losów”. To, co łączy wiersze wspomnianych poetek, to mniemanie o terapeutycznej roli wiersza. On rzeczywiście na chwilę powstrzymuje łapiące za gardło poczucie bezsensu, w metaforyczny sposób tamuje upływ krwi i czasu; u Zychli „to te ułamki chwil, w których wracamy do raju, / szukamy owocu”. Urszula Kopeć-Zaborniak dodatkowo rozszerza tę świadomość o takie zdanie: „jesteśmy jak maska pośmiertna Dantego wystawiona / w przeszklonej skrzyni we Florencji”. Potem pojawia się passus o niepotrzebnej już umiejętności czytania ze zrozumieniem, skoro (w domyśle) współczesnością rządzą szybkie, ostre obrazy. Co może do nich dodać poeta? Jak inaczej zwizualizować wysłowić swoje rozterki? Wydaje się, że jest na straconej pozycji. Słowo przegrywa z obrazem, kultura werbalna z wizualną. Z intencji niektórych fragmentów wierszy Kamila Kwiecińskiego wynika, że niekoniecznie. Coś zawsze pozostaje na dnie duszy, a w obrębie słów, czyli poza kadrem i ekranem. To właśnie wtedy „krojenie chleba zamienia się w czynność kontemplacyjną” i „słysząc narastanie ciszy po słowach”.

A w prozie, jak zawsze, szukam poezji. Czegoś, co wykracza poza narracyjne sformatowanie, co burzy, przełamuje. Albo wydaje się być „wyrwanym” z czegoś – tak jak w prozatorskich epifaniach Lidii Karbowskiej. Mały świat, ale pełen dużych, ważnych rzeczy. Sugestywne obserwacje, bezceremonialna wiwisekcja, ironiczne przypisy do rzeczywistości, bardzo „produktywna melancholia”. I dla odmiany opowiadania Łukasza Staniszewskiego – to już nie liryczny raptularz, a solidna konstrukcja magicznego uniwersum, kreacja godna starych mistrzów spod znaku „nurtu wiejskiego w polskiej prozie”, otwierająca się na nowe konteksty i znaczenia. W pewnym sensie świat zbliżony do tego z prozy Diny Staszak, podążającej śladem Olgi Tokarczuk, lecz bardziej konkretny w sensie topograficznym i etnologicznym. Staszak stawia na kreację bardziej nośną, uniwersalną, prawie poetycką. Natomiast tekst Edyty Wysockiej łączy te wszystkie rozproszone tendencje. A więc jest „proza korzenna”, zarys małej ojczyzny, jest efektowny raptularz (z zaburzoną linearnością narracji), jest to co plebejskie i rdzenne, zderzone z finezyjnym i wysokim, ale dodatkowo wzbogacone o ton familiarny, rubaszny, prawie satyryczny. Genowefa Światłoń dorzuca do tej kolekcji własny ślad. Zadumy nad losem, siły przetrwania, dzielności, czystości wzruszenia i godności opowiadania. A to wszystko (i więcej) w monologu Matki Polki, wciąż uciekającej przed pijącym i bijącym mężem. Świat nie byłby pełen, gdyby nie to, co między te światła i cienie położyła Hanna Dikta. Bo jeszcze musi być i to: zapisywanie sytuacji ostatecznych, udręk związanych z odejściem, rozpadem, rozstaniem. Zawsze niegotowi na śmierć. Nieumiejący jej dobrze zapisać. Dikta szukając języka, który udźwignąłby umieranie matki, w ciekawy sposób wadzi się z gotowymi formułkami żałoby.

Myślę, że czytelnik będzie miał uciechę z tej stylistycznej rozpiętości i różnaitości, z tego bogactwa odcieni. Być może jurorom w tym roku udało się pogodzić wodę z ogniem, zaprosić na ucztę. Jeżeli tak, to życzę Państwu smacznego.

Karol Maliszewski



XXIII Konkurs literacki

Krajobrazy Słowa

Lidia Karbowska

godło „nenia”

Nagroda Prezydenta Miasta Kędzierzyn-Koźle

Lidia Karbowska

Lat 21, studentka filozofii. Z urodzenia poznanianka, a obecnie krakowianka. Kocha chodzić do teatru i po lesie oraz pływać w ciepłych jeziorach (w zimnych w sumie także). Marzy o podróży dookoła świata i żeby wystawiono jej sztukę w teatrze. Zdarzało jej się zdobywać nagrody w młodzieżowych konkursach na wiersze i sztuki. Przez wiele lat uczęszczała do poznańskiej Dziupli Literackiej, gdzie wydała swój mały tomik pt. „Niedomknięte okno wiersza”.

Wyrwane

Aludze

I. WIOSNA

Słoneczny

Gołębica je kwiaty akacji. Szaleństwo jest ze słońca, a słońce świeci prosto we mnie. Jest pięknie. Piękno przeraża mnie, przytłacza.

Lewe

Zazwyczaj płaczę lewym okiem. Prawe zostawiam sobie na lepsze okazje. Ale gdy umarł mój kocisyn Jaskier, nie zapłakałam żadnym – dopiero potem, w tramwaju, przy okazji jakiegoś wyjącego wniebogłosy dziecka, ukradkiem dołączyłam się do jego płaczu – i nie moje łzy pociekły wtedy z obu moich oczu.

Sikuryzada

Gdy dowiedziałam się, że jest coś takiego jak urynoterapia, nie wyrzucam już sobie, że czasem oddaję mocz pod prysznice.

Gdy dowiedziałam się, że na świecie nie ma zła, tylko dobro, potrafię sikać bez wyrzutów we wszystkich miejscach świata, nawet wtedy, gdy patrzą.

Któraś wiosna

Bez pachnie bzem, akacja pachnie akacją, a ja pachnę karmą, nie taką buddyjską a taką do kota, a zapach ten stanowi załącznik do mojego fatum.

Mimo że pogodziłam się z przeszłością, moja nienawiść do irysów nie ustała, co dowodzi temu, że jednak się z przeszłością nie pogodziłam.

Wiosenne problemy cmentarne

Nornica kopie pod grobem Sebastiana. Babcia myślała, że kret, a to jednak nornica. Nornica też ma prawo żyć, mówi babcia, ale jak tak niszczy kwiaty, to co zrobić.

Więc grób Sebastiana stanie się także grobem nornicy, na chwałę cmentarnych aksamitek i wrzosów.

Darmowe warsztaty z kwiatów i śmierci

Nie wróżka, a kosmetyczka przepowiedziała mi śmierć. Przepowiednia śmierci może cię spotkać o każdym czasie i w każdej przestrzeni, nawet w przestrzeni gabinetu kosmetycznego, co jest bezwzględny dowodem na to, że przeznaczeniu uciec się nie da – przeznaczenie dopadnie cię jak pies zgłodniały i na strzepy rozerwie.

Nie trzeba wydawać pieniędzy na wróżkę, nie trzeba wysyłać esemesów pod numer siedem dwa pięć siedem, nie trzeba nawet śledzić codziennych horoskopów ani conocnych konfiguracji gwiazd – przeznaczenie i tak się do ciebie dobierze, zgwałci cię w biały dzień w ciemnym, miejskim zaułku, do którego wcale nie wchodziłeś.

– Jak najbardziej chciałabyś umrzeć? – pyta mnie w tym kontekście mój głos wewnętrzny,

– Przez poronienie – odpowiadam. – Albo ratując świat przed zagładą. To pierwsze jednak bardziej.

Niemodlitwa

Modliłabym się za Was gdybym umiała, ale umiem tylko gubić jednogroszówki na chodnikach, chociaż tyle mogę dla Was zrobić, bracia.

Mam dwadzieścia lat, kwitnę

Starsze, ale jeszcze nie stare kobiety rozmawiają w autobusach o raku piersi i menopauzie. Za trzydzieści lat będę rozmawiać w autobusach o raku piersi i menopauzie – że ja, moja znajoma, ktoś z rodziny, albo for example Angelina Jolie, ale teraz – teraz rozciąga się na przeszłość i przyszłość, jest tylko – teraz, teraz albo nigdy.

Parmenides poranny

Mogę pisać o śmierci, skoro jej we mnie nie ma. Byt istnieje dzięki niebytowi, życie istnieje dzięki śmierci, a ja – ja nie istnieję wcale, ja tylko sobie płynę, ja przepływam to sobie.

Rananana

Chyba was pomieszało, chce mi się powiedzieć do tych ludzi ulicznych, co patrzą a nie widzą, co wciskają swoje brudne paluchy a nie wierzą – chce mi się powiedzieć, mimo że ja sama, gdybym dostąpiła łaski wciśnięcia, gdybym dotknęła żeber i bijącego serca, gdybym przebiła się nawet na wyłot, nie uwierzyłabym, zaprawdę.

– Teraz ty wsadź we mnie palec, o tu.

– Tu nie ma żadnej rany – mówi Dżizus, patrząc tak dokładnie, że aż do wewnątrz.

Menel stuff

Pan Menel w koszulce ze Star Warsami uprzytamnia mi absurd wszechrzeczy. Pan, co gra codziennie na pozytywce, a w dodatku gwizdzie dziś na ptaku, tego absurdu mi nie uprzytamnia, uprzytamnia mi natomiast wiele innych rzeczy, na przykład panta rhei, memento mori, samsara.

II. LATO

Tak z głowy pani te wiersze

– Tak z głowy pani te wiersze bierze?

Z dupy, myślę.

– Z głowy. Z głowy raczej.

Odrzucenie

Odrzuciło mi się serce. Tak się czuję. W sensie przeszczep – przeszczep mi się odrzucił. Odrzucił mi się przeszczep i rzuciło mi się na mózg. Biegam z nożem po mieście i rzucam się na przypadkowych ludzi, to nie będzie bolało, mówię.

Szukaj kota w polu

Józef chyba nie za bardzo rozumie śmierć. Szuka Jaskiera za biurkiem i w szufladach, myśli może, że go gdzieś przed nim złośliwe ukryłam. Oby tylko, myślę sobie, nie pomyślał, że przerobiłam go na szynkę – bo zdarza się, trzeba wam wiedzieć, że ludzie jadają koty (Chiny lub okupacja for example), a jeśli jeść już koty, to najlepiej własne – tak mówi stare chińskie przysłowie, istniejące też w wersji analogicznej: jeśli jeść już ludzi, to najlepiej własnych (żeby mnie własne koty zjadły, taki pogrzeb mi się marzy).

PS Józef nie docenia daru nierozumienia śmierci. Gdybym miała taki dar, doceniałabym go po stokroć.

Winnik

Winnik przeprawia się na drugą stronę jezdni. Na co przeprawia się ten winnik? Chyba na własną śmierć się przeprawia.

Po lewej jest fiolet, a po prawej zieleń. Na górze jest niebo, a na dole śmierć.

Pomnik

– Że rozstrzelali profesorów na UJ–ocie – mówi Olga. – O tym mówią harcerze.

Siedzimy na pomniku Mickiewicza i gapimy się na życie, pomimo, że noc.

– Naziści rozstrzelali.

– Naziści, no tak.

Gdyby mnie tak rozstrzelali naziści, co chciałabym czuć? Zgodę na zło bym chciała.

Ale zgodę na zło to sobie można, siedząc na pomniku Mickiewicza i gapiąc się na życie, pomimo, że noc, bitch.

Słone niebo

Płynę sobie pociągiem, bo lato. Sikam sobie na stopy, bo lato. Olga mówi, że jej ojciec jest fanatykiem Kantora. Żeby ojciec moich dzieci był fanatykiem Kantora, marzę sobie po cichu.

Tylko – jakie tam moje dzieci. Raczej kukły ze słomy, bałwany.

Z okazji słońca pozasłaniam okna

Szaleństwo jest ze słońca, to na pewno. Takie jakby zatrzymanie, mówi Olga.

Chwila, w której się zatrzymałam, zawiera w sobie także wszystkie poprzednie chwile, a były to chwile nieszczęsne i marne, ale to na pewno wina słońca – w innym świetle moje życie prezentowałoby się o wiele korzystniej, to na pewno.

– Nierealność istnienia – dodaję.

Summertime Sadness, Summertime Happiness

Lato. Brak życia rekompensuję sobie pisanie. Brak pisania rekompensuję sobie życiem.

Hey You

You talkin' to me, girl? Jest niedziela, bezskorupny ślimak wlecze się drogą, oto opis niedzieli. Znam siebie dość długo, zrozumiałam to dziś przed lustrem. Powinnam od siebie odpocząć, rozczłonkować się jakoś, rozwarstwić.

Punkt, prosta

Miałam w życiu tylko jeden punkt rosy, a był on ponad rok temu, i póki co wcale nie myślę o kolejnych. Punkt rosy jest wtedy, gdy pod wpływem czynników zewnętrznych zmienia się twój stan skupienia, tak nie mówi żadna encyklopedia, tak mówią drzewa mylnie zieleniejące (zielonujące?). To w ramach przypisu.

A w ramach nieprzypisu to chciałam nadmienić, że piątą strona świata jest światło, do którego prowadzą dziś wszystkiego kompasy.

Summer time is it

– Świat jest taki niewiarygodny – mówi klientka w gabinecie kosmetycznym. – W takim Meksyku to gorzej niż w tych murzyńskich krajach, mówię pani. Niesamowicie takie coś zobaczyć.

– Dobrze, że urodziłyśmy się tutaj, a nie tam – puentuje kosmetyczka.

Jak widać, w gabinecie kosmetycznym afirmuje się życie. To jest lato, taka specyfika. Summer time is it.

Słowa są ciasnym domem dla myśli, a buty są ciasnym domem dla stóp, gdy się ich jeszcze nie rozchodziło.

Wyłowić sens z bezsensu, tą czarną, głodną rybę, marzę, idąc pod światło.

Oszukańczo

Olga zarezerwowała w Kociej Kawiarni na imię Aluga, bo lubi oszukiwać ludzi. Także lubię oszukiwać ludzi, ale na mniej kreatywne sposoby – na przykład uśmiecham się, gdy jest mi smutno i na odwrót.

Czereśnie są tak obłądnie czerwone, że nie wiadomo czy jeść, czy patrzeć. Kuba, co z zawodu jest rolnikiem, a studiuje filozofię dla rozwoju własnego (jakby można było studiować filozofię z innych powodów), twierdzi, że umieranie zaczyna się latem. Nie jesień jest porą umierania a lato, mówił, gdy szwendaliśmy się wiosenną porą po mieście.

Czereśnie od środka robaczą się i gniją. Piękne oszustwo, czereśnie, doceniam.

Nie ma takiej opcji

Nie ma takiej opcji, mówi mi Tymbark. Jakiej opcji nie ma, Tymbar-ku? Tak, wiem – szare chmury i niebo są takie zachwycające. To powinno mi wystarczać.

Niewłaściwa strona trawy

Jak zdechła ryba leży mój kot Józef na łóżku. Jak zdechła ryba leży mój kot Jaskier pod ziemią. Nie chodzi o to, że nie godzę się na Twoją śmierć, Jaskierku. Po prostu wołałabym być dziś przy Tobie, po niewłaściwej stronie trawy.

So good

To było dobre, powiedział Bóg. Seriously, God?

Dzień jest dobry, wiatr łagodzi upał. O nic nie pytam, niczego od ciebie, milczący kamieniu, nie żądam.

Względności

Romansuję z ludożercami, to moje hobby z rodzaju „spraw, by twoje życie nocne stało się naprawdę ekscytujące”.

Ludożerzy budzą w nocy i nie zjadają w całości, a po kawałku, a co na końcu?

Na początku było słowo, na końcu będzie życie. Na początku była miłość, na końcu będzie śmierć.

Na początku było słowo

– Jakie słowo?

– Whatever, bitch. Whatever.

Credo sierpniowe

Wierzyłam niegdyś, że Maryja uwalnia się z adwentowej świecy i krąży w stanie lotnym nad ołtarzem. A teraz? Teraz jest lato, środek sierpnia, środek wszechświata.

Otworzyły mi się oczy już dawno. Teraz przymykam je, zamykam.

Ciepłymi jeziorami

Nie nauczyłeś mnie chodzić po wodzie, Panie. Więc pozwól, że to przepłynę.

Whatever

Boli mnie głowa, bo burza. Cisza przed czy po burzy – whatever.

Najbardziej z przypowieści o Synu Marnotrawnym przemawia epizod, w którym Syn Marnotrawny zjada obierki jabłek, które uprzednio sam osikał. Pisanie to autyzm, okej, A niepisanie? Whatever.

Panta, bitch

Jest sztuka powrotów i sztuka odchodzeń. Jest sztuka życia i sztuka śmierci. Panta rhei, jak mówią uliczni filozofowie, którym już wszystko dawno przepłynęło, i tacy puści, wypłukani, mogą uczyć o życiu, skoro ich nie dotyczy.

Panta rhei. Let it be.

Dogorywanie

Jesienią. Jesienią przełączam się na Maanam.

Jesienią zewnętrzne zgrywa się z moim wewnętrznym, a na upał najlepiej pić gorącą herbatę – wiedzą to wszyscy beduini i niektóre Matki Polki, te w zwyżkującym umiarkowanie, ale jednak zwyżkującym wieku.

Hej, chciałabym, żeby zapadł się wszechświat, a Ty na co masz dziś ochotę? Jesienią z bezproduktywnego smutku przechodzę w coś jakby produktywną melancholię, a wszystko, co miało umrzeć, umarło już latem. Jesień to pora godzenia się, wolnego dogorywania.



XXIII Konkurs literacki

Krajobrazy Słowa

Łukasz Staniszewski

godło „Łukasz Zapalka”

I nagroda w dziedzinie prozy

Łukasz Staniszewski

Ma 40 lat. Na co dzień pracuje w radiu. Jest piszącym amatorem, który uważa składanie zdań i słów za formę autoterapii, zdecydowanie tańszą od wizyt u terapeuty. W 2014 roku zdobył II nagrodę w I Ogólnopolskim Konkursie Literackim „Pod Poetyckim Zawołaniem Rocha Sęczawy”. Mieszka w Olsztynie, skąd pochodzi i gdzie pewnie umrze.

Piec Magdaleny

Ryby odlatywały stadami, każdy gatunek oddzielnie. Te małe pryskały srebrem, gromadnie podrywając się spod powierzchni jeziora. Gubiły krople wody, w których rozszczepiało się światło.

Większe sztuki szczupaków i okoni potrzebowały rozbiegu, by wznieść się w powietrze. Wojtaszek szczególnie lubił patrzeć na lecące sumy, które majestatycznie wyginały żółte od spodu cielska, bez strachu przelatując nad dachami domów we wsi Małe Grozy.

Każda płetwa bijąc w powietrze wydawała dźwięk, który w milionach powtórzeń przypominał szum przesypujących się drobin piasku.

- Matka! – krzyczał wtedy Wojtaszek w stronę domu – rozpalaj piec, idzie zima!

Ryby uciekały przed mrozem, który w tej części świata był bezlitosny. Mroził powietrze na galarete, wiążąc w sobie wszystko, co żyło.

Co było w jeziorach i rzekach, wyczulone instynktem, wyruszało na południe. Ludzie trzymając w rękach długie kije zakończone siatką, stając na palcach lub podskakując, próbowali podebrać przelatujące stada. Trzepocące się zielone leszcze spadały łowcom na głowy.

To był ostatni widok jesieni na Warmii – chłopci biegający po polu, zapatrzeni hipnotycznie w niebo.

Ludzie musieli pozostać. Każdy bronił się przed mrozem jak potrafił. Niewielu miało szopę wypełnioną pachnącymi szczapami. Większość dopiero teraz zaczynała się zastanawiać, czym zapchać piec przez zimę. Na szczęście wszystko nadawało się do palenia.

Wielu odwiedzało opustoszałą chałupę Macięgów. Wśród gniazd kruków stała tam sporych rozmiarów biblioteczka wypełniona po sufit książkami. Jak się komuś chciało zajrzeć między stare okładki, to można było ujrzyć dziwnie kanciaste litery. Nadawało się to wszystko tylko do pieca, bo nic z tego nie można było zrozumieć.

Każda książka dawała za to ciepło.

Najpierw zajmowała się okładka. Drewniane były najlepsze, bo grzały dłużej i mocniej. Spod spalenizny wyglądały zapisane strony. Z gorąca zwijały się w rulony, popiskując przy tym z żalu, że nie będzie ich już więcej pieścić oko człowieka.

Pewnie to tu dobro zawsze wygrywało ze złem, a miłość musiała być spełniona. Historie, które kiedyś nie pozwalały zasnąć, trawił ogień.

Dobrze się paliło książki w obcym języku. Nie było wyrzutów sumienia, że do pieca wrzucało się Słowo Boże. Nikt we wsi nie znał kanciastych liter. A więc może o Bogu w nich nic nie było.

Każda książka dawała inny dym.

Z tych o miłości szedł tylko biały, delikatny kłąb. Groza kopciła się na czarno, gryząc w oczy. Nikt nie wiedział, jak się pali Słowo Boże, ale to pewnie było wtedy, jak się ogień mienił na zielono lub niebiesko.

W piecach huczało do końca zimy. Na mroźnym galaretowatym powietrzu dym zastygał tuż nad kominem na kształt aniołów z szeroko rozpostartymi skrzydłami.

Z daleka było widać, jakie ogień w piecu książki czyta. I jaki anioł nad domem czuwa.

Każda chałupa we wsi miała swoje przykazanie. Biały anioł zmuszał ludzi do wstrzemięźliwości i ascezy. Czarny pozwalał za to folgować sobie na potęgę. Tylko zielony nie kazał nic. Ludzie sami musieli decydować, jak chcą żyć.

Nikt nie chciał białego dymu nad chałupą. Co się ludzie namordowali, żeby los przechytrzyć. Przeprowadzali się do sąsiadów, siali wiatr, by przegonić anioła. Nikt nie miał jednak odwagi sprzeciwić się znakom na niebie, dopóki same się nie zmieniły.

A tej zimy Wojtaszek miał zamiar palić w piecu wdowy Magdaleny. Jednak nad ich chałupami dym wisiał na biało. Musiał więc wrócić do żony i jeść suchy chleb.

Kuba Sapiecha chciał się zapić na śmierć, ale wódka przestała mu smakować. Do wiosny śmierć mu na siebie kazała czekać.

Ci od czarnego dymu dupczyli się między sobą bez opamiętania i żalu.

Józwa położył się na podłodze i bimber rurką prosto sobie w gardło lał. Dzień w dzień i noc w noc. Aż jego łzy wypełniły się siarką.

Katarzyna czuła taki głód, że łakomie zaczęła spoglądać na swoje dzieci.

Mieszkańcy chałup z zielonym dymem żyli na swój sposób. Często siadali w oknach swych domów i patrzyli na golusieńkich miejscowych tarzających się w śniegu.

Jakoś tak na przednówku zerwał się wiatr. Dymne anioły ruszyły na siebie z wściekłością, siłując się na niebie. Mieszały się chucie w wiosce na nowo, aż do następnych mrozów.

Jedni z odrazą patrzyli na siebie, wspominając swe uczynki. Innych ogarniała radość na myśl o tym, co ich czeka.

Tylko Wojtaszek kurwami rzucał. Z jego komina znów sączył się biały dym. A tak bardzo chciało mu się palić w piecu Magdaleny.

To już trzeci rok z rzędu. Ale teraz u Magdy dymiło się na czarno. Wokół jej chałupy zbierały się już głodne koty.

Mógł zrobić tylko jedno. Pożyczyć długiego kija zakończonego siatką. I zacząć się na nadlatujące książki, które pod jesień stadami zlatywały się do opuszczonej chałupy Karola Macięgi.

Lecące kartki na tle nieba przypominały ptasie skrzydła. W ich bieli odbijały się ostatnie promienie zachodzącego na kilka miesięcy słońca.

Warmia

Byłeś tu kiedyś?

Powietrze jest tu ostre. Jakbyś wdychał pokruszone szkło. Tak duchy zmarłych wnikają w twój krwiobiegi. Teraz możesz podejść do drzewa i zobaczyć, jak jego wnętrze wypełnia muzyka, delikatnie poruszająca konarami w rytm wiatru.

Podnieś rękę, zasłaniając słońce. Wokół twej dłoni powstanie purprowa obwódka, która jest prawdziwym kolorem tutejszego powietrza. Ale to mogą wiedzieć tylko wariaci.

Byłeś tu kiedyś?

Miejsca dzielonego przez duchy, ludzi i zwierzęta. I niech ci się nie zdaje, że wiesz, kto jest kto. Nawet jeśli przemawiają do ciebie językiem, który rozumiesz.

Tu myśli krążą swobodnie. Lecz nic nie przynosi ukojenia.

Możesz poczuć głód.

Jak czekoladowe dziecko Zarembów, które łakomie lizało się po ręce, by wreszcie odgryźć sobie palec. Ze smakiem zjadło nogę i nadgryzło biodro. Na koniec została tylko szczeka. Wciąż kłapiąca w poszukiwaniu smakołyku.

Tu można oszaleć z pragnienia.

Jak Katarzyna, której łono płonęło niebieskawym płomieniem w tęsknocie za mężczyzną. Wyło nocami jak wilk, któremu łapa utknęła we wnykach. Aż wreszcie, tam między nogami wyrosły jej zęby. Klęknięta wtedy Katarzyna, by móc gryźć ziemię.

Znasz tu kogoś?

Może poznałeś Łukasza, który odwraca starą wannę do góry dnem i zanurza się w wodzie. Oddychając uwieczoną bańką powietrza wędruje po dnie jeziora. Odwiedza mieszkańców zatopionej wioski Wielkie Grozy, którzy nie potrzebują już słońca do życia.

Nie pytaj Łukasza, dokąd masz pójść. Zawsze ci powie, że źle zadajesz pytanie. Wyjaśni, że nie ma kierunków, bo unosimy się w przestrzeni, marząc o powrocie na Ziemię. Tu nie ma dróg i mostów, jest tylko miłość. I dzięki niej możesz podróżować najdalej.

Więc po co pytać?

Podejdź do mnie. Połóż mi rękę na czole. Poczuj, jak przepływa przez nie rzeka. Jak tańczą wodorosty poddając się naporowi wody, a ryby są tu tak wielkie, że pożerają rzekę.

Jak tu trafić?

Zapytaj dziecko. Ono wskaże ci drogę na Warmię. A jeśli jesteś już zbyt głuchy i ślepy, by zrozumieć cokolwiek, dziecko cię zaprowadzi. Polecicie na łabędziu, przytulając się do białej szyi, aby głową nie zahaczyć o gwiazdy. W świetle księżyca zobaczysz rozwidlenie drogi.

To tam.

Oczy rzeźnika

Po co mnie o niego pytasz? Nie ma co gadać. Tak, znałem go, odwiedzał mnie, choć tego nie chciałem. Widzę, że lubisz sensacje. Tak, to ten facet, który nadepnął na własne oczy...

Taki chudy był, żyła. Miał potrząskane szkła w okularach, więc musiał tak śmiesznie pochylać głowę, żeby cokolwiek zobaczyć. I zawsze od niego było czuć. Taka mieszkanka, że nie chcesz wiedzieć.

Przychodził do mnie. Ja pracowałem, a on gadał. Niby do siebie, ale patrzył czy słucham.

O czym pieprzył? Różnie. Zwykle o kobietach, które chciałby mieć. A to sąsiadkę, a to spotkaną dupę na drodze. Ślinił się na myśl, co by z nimi robił. Nie mogłem tego słuchać, nie dało się. Ale wiesz, to był najlepszy rzeźnik we wsi. Jak go przetrzymałem, to później pół darmo dla mnie robił.

Kiedy ją poznał? Od razu to mi nie powiedział. Raz się wygadał, że jakąś podgląda, jak się puszcza z kimś ze wsi. Podchodził po same okno. I patrzył. Mówił mi, że mruczała jak kotka. A w ogóle to ona takie rzeczy robiła z tymi facetami, że on nie wiedział, że tak można.

Ty wiesz, to nawet zabawne jest, bo on z kotów robił świetne rękawiczki. Nie do za...je...ba...nia.

Skąd to znasz? Już ci mówili, co? Nie pytaj jak wiesz. Tak, też widziałem jak zwierzęta się go bały. Moja suka to ze strachu mało co się nie powiesiła na łańcuchu.

No i on w dzień zwierzęta szlachtował, a nocami pod okno łąził. Bo ta babka niewyżyta była. Codziennie kogoś miała.

A kiedyś mi powiedział, że wszedł do jej domu. Nawet mogę to sobie wyobrazić, jak taki przekrzywiony stoi, by ją zobaczyć. I jak się chwali, że wszystkim rozgada.

A skąd mam wiedzieć? Pewnie się przestraszyła. Albo dostał od niej coś, co zamknęło mu gębę. Ale później to gadał mi tylko o niej. Chyba mu się wszystko zaczęło mieszać we łbie, bo mu się szlachtowanie z pieprzeniem myliło.

Raz go zapytałem, czy sam by tak nie chciał do niej pójść. Powiedział, że nie. Że patrzeć wystarczy. No dobra, mówię, jak chce tylko popatrzeć, to jeszcze nie koniec świata. Szmata się puszcza, to ma za swoje.

A skąd mam kurwa wiedzieć, czy w końcu to zrobił? Czy mu się zachciało zapłaty? Nagle przestał przychodzić i tyle. Ja tam za nim nie płakałem.

To w niedzielę było. Wszyscy wtedy pod kościołem stali. Wiesz, jak to jest. Ludzi pełno, wozów też. Trzeba uważać. A ten pijany, ledwo na nogach, środkiem drogi idzie. I drze ryja.

Nie pamiętam. Coś o suce. Ale co tam dokładnie pierdolił, nie wiem. I jak tak w te wozy wszedł, to konie ze strachu na dwóch nogach chodziły.

To pamiętam. Rękę na taką jedną klacz podniósł. Ale nie zdążył się zamachnąć, bo kopytem dostał w tył głowy, aż mu oczy powypadały na piasek.

No mówię ci. Takiego strzała dostał. I jeszcze krok zrobił do przodu. I wiesz co? Choć pełno ludzi było, to słyszałem, jak trzaskają mu te gały. Tfu!

No mówię ci, że słyszałem. No i dobrze kurwa, bo przestał nas gnojek szantażować.

Wielka pustka

Pustka była przeogromna. Nie w widoku za oknem, gdzie na horyzoncie zbiegały się linie świata ludzi i nieba. Więcej niczego było w spojrzeniu patrzącego. Wszystko było na chwilę. Błękitna kula w kosmosie toczyła się tylko w sobie wiadomym celu.

Patrzący miał zamknięte oczy, choć przez okno wyraźnie widział koniec swojego podwórza i drogę biegnącą do drzew.

Czarne ptaki zerwały się z ramion wiszącego, gnane wspólną myślą. Jeden z kruków oddzielił się od stada, kierując się do wsi. Jeszcze w locie zaczął przemieniać się w człowieka. Zostawił sobie skrzydła, by szybciej dotrzeć do celu. Ten człowiek-ptak był księdzem, który opiekował się duszami w warmińskiej wiosce Małe Grozy.

– Józef! Twój ojciec się powiesił – krzyknął ksiądz Łukasz do człowieka patrzącego przez okno – słyszysz?!

Józef milczał. Patrzył tylko na księdza.

– Twój ojciec nie żyje – powtórzył ksiądz.

– Ale wariat – odezwał się w końcu Józef – to wymyślił...

– Co teraz zrobisz?

– A co księdzu do tego? No powiesił się... i co mam zrobić?

– Ty wiesz, dlaczego?

– Nie wiem, ale ksiądz też się nie dowie. Do widzenia panu.

– To twój ojciec był... i z Bogiem po świecie chodził.

– Wymyśliliście sobie Boga, by straszyć ludzi. Ale ze mną wam się nie uda. Słyszysz ksiądz? Nie uda! Niech już ksiądz wraca do swoich spraw.

Ksiądz Łukasz nic już nie powiedział, tylko zrobił znak krzyża i zerwał się do lotu.

Spod wzgórza, na którym był cmentarz, wylewało się jezioro, a dalej szedł las. Mogli się umarli nacieszyć widokiem pięknej Warmii do woli.

Nad dołem zebrało się dużo ludzi ze wsi. Każdy chciał pamiętać tego, o którym mówiono, że przez własnego syna na gałęzi się obwiesił.

Nikt nie chciał znać takiego człowieka. Jeszcze tylko ksiądz Łukasz czasami przelatywał przez jego podwórze. Józef przyjmował jednak gości. Wieczorami odwiedzał go ojciec. Bujając się na lampie, wpatrywał się w leżącego syna.

– Czego ojciec chce? – pytał wtedy Józef – niech da spać po całym dniu. Ojciec to już nic nie musi, a ja jutro do roboty wstaję! – złożył się, ale zaraz zasypiał.

A potem pożar wybuchł w budynku, gdzie mieszkali oszaleli. Ci z górnego piętra mogli ratować się tylko przez okna na dach, ale rozgrzane do czerwoności diabły, tańcząc na krokwiach, widłami spychały ich do środka.

Nad ranem, gdy Józef kładł się spać, twarz ojca była czarna od sadzy, a z jego ubrania wciąż jeszcze tlił się dym.

Żal się zrobiło mieszkańcom wsi spalonych ludzi. Za namową księdza poprosili Józefa, żeby wyrzeźbił na ołtarz postać Jezusa Chrystusa. Ten drwił sobie z prośby, ale że wielu do niego przyszło, w końcu się zgodził.

Spod jego ręki powstał Jezus udręczony. Ciało nabite gwoździami kapało bólem, a wystające kości przebijały drewnianą skórę. Tylko wyraz twarzy Jezusa nie spodobał się księdzu Łukaszowi. Wyrażała złość, choć zachwyceni ludzie zdawali się tego nie widzieć.

Wielkie to było wydarzenie w Małych Grozach, gdy wieszano rzeźbę w kościele. Józef nie brał udziału w uroczystości. Ostatniej nocy ojciec nie pojawił się na lampie. I później też go nie było.

– Gdzie jesteś ojciec? Zgubiłeś się? – pytał, przewracając się z boku na bok – ojciec?... Przyjdiesz jeszcze?

Skrzący się złotem śnieg na jeziorze bieleł się aż po pnie drzew na brzegu. Kusiło kuligiem. Zebrano ułomne dzieci z całej wsi. Małe boże stworzenia, które nie odróżniały dnia od nocy.

Sanie popiskiwały z radości. Mróz zaciął jak bat nad grzbietami koni. I tylko zwierzęta potrafiły przeskoczyć wyrąbany przerębел. Dzieciaki poszły pod wodę.

Nagła cisza wypełniła świat. Dzieci z otwartymi ustami zapadały się w ciemniejący błękit, oddalając się od światła, które wdzierало się w głębinę przez szpary w popękany łódzie. Józef łowił dzieci. Spieszył się, bo już ich Złe z jeziora za nogi ciągnęły do siebie. Pomagał mu ojciec, który wychynął na pomoc z ciemnozielonej toni.

Zwrócił powierzchni ostatnią zgubę. Wkoło z krzykiem i z płaczem zbierali się ludzie.

Józef z przyjemnością zaczerpnął powietrza. Znów musiał nurkować, by odnaleźć jeszcze kogoś.

Pod wodą pustka była przeogromna. Ale więcej wszystkiego było w spojrzeniu szukającego.

Narodziny

Kiedy się rodzi dziecko we wsi, gwiazdy krążą nad jego głową. W okna zachodzą zwierzęta z lasu, ptaki siadają cicho na parapetach.

I wszystko śpiewa.

Ręka dziecka niby mała, a mieści w garści ogrom gwiazd i planet, które krążą między jego palcami, zderzają się, aż powstają z tego nowe kosmosy.

Oczy dziecka widzą bardzo dokładnie, choć nie widzi ono tego co przed nim. Najpierw musi poznać to co było, więc duchy umarłych gromadzą się nad jego kołyską.

I szepczą mu do ucha historie starego świata.

Tę sztukę posiadły też zwierzęta, lecz nic się od nich nie dowiemy.

Dziecka bardzo długo nie ma, a później nagle jest. Dla nas i nieba.

Cieszymy się zatem, że jest nam dane oddychać tym samym powietrzem co ono.

Dziecko powstaje ze światła słońca, zapachu leśnego powietrza i oparzeń gorącego piasku. Przed nim kłaniają się drzewa i ryby wyskakują z wody. Dla niego wiatr wyje w kominie.

Zaraz po narodzinach dziecka rodzi się suka, która przyniesie w zębach ukochanego szczeniaka i dojrzewa jabłoń, z której będzie można później zrywać jabłka o smaku lata.

Umarli cieszą się z narodzin. Jakaś najdrobniejsza cząstka ich samych wciąż żyje.

Aż dziecko przestaje widzieć, bo z mgły wyłaniają się kształty twarzy matki i ojca. A później tysiące innych.

Od tej chwili zmarli są zmuszeni przemawiać do nas w inny sposób.



XXIII Konkurs literacki

Krajobrazy Słowa

Edyta Wysocka

godło „Lustro”

II nagroda w dziedzinie prozy

Edyta Wysocka

Pisze prozę i poezję niemal od 30 lat. Publikowała w prasie ogólnopolskiej i lokalnej, m.in. w „Akancie”, „Autografie”, „Bez przysłony”, „Twórczości”, kwartalniku „Tygiel” i wielu innych wydawnictwach literackich. Nagradzana i wyróżniana w licznych konkursach poetyckich i literackich. Niektóre z nich, to: „O liść dębu”, „Rubinowa hortensja”, „O laur jabłoni”, „Tyskie lato poetyckie”, „Połowy poetyckie”, „O laur czerwonej róży”, „Orzech”, „O laur Opina”, „Milowy słup”, „Malowanie słowem”, „Łyżka mleka”. Jest autorką tomiku „Dzieci epoki”. Pasjonują ją dwie skrajności: polityka i muzyka poważna.

Jak byłam mała

Z pożółkłych pamiętników dziecka. Fragmenty

(...) Rok 1953. Mam dziesięć lat. Jestem nieśmiała, strachliwa, bracia mnie dręczą... Mama i dziadek nie widzą, że trzeba z tym do lekarza. Do psychologa? A kto to jest i gdzie takiego szukać? Mama powtarza – Dziecko, ty się boisz i wstydzisz? Czego? Jesteś głupia. I tyle rodzicielskiej terapii.

Ale lubię pisać. Postanowiłam notować wszystko, co się wokół mnie dzieje. Co mnie boli, przeraża, a czasami cieszy. Ukryta za wielką szafą, w kąciek poddasza, staram się uciec od uporczywych lęków...

O naszej kozie, mojej sukience i smacznej zupie

(...) Dziadek mówi, że Becia to nasza żywicielka. Ma ostre rogi i dwie „baze” pod brodą. Lubi obierki, śpi w ziemiance i jest bardzo odważna. Nie boi się nawet ropuchy i zabitego żołnierza, co go dziadek tam znalazł. Jak się wprowadziliśmy, po Niemcach.

Na rowach rosną gęste trawy. Pasę tu naszą kozę i wstydzę się biedy, chociaż sukienkę mam z Unry, w niebieskie kropki, śliczną, że nawet do kościoła.

Chabry, mleczce, rumianki i te drobne różowe, kleją się jak miód. Wystarczy pogryźć, wyssać, połknąć - i nie jest się już głodnym, i wcale nie

boli brzuch. Czekamy na tatę z wojny. Dziadek pociesza, że niedługo do nas wróci.

Dzisiaj chmury są białe jak konie od sąsiada. Biegną i biegną... Leżę sobie na trawie, patrzę w niebo, a koza skubie zielsko i białe kwiatki koniczyzny. ...Długo tak leżę, bo do samego wieczora. Aż przybiegła po mnie Janka, że jest list z Anglii w czarnej ramce. I że przyniósł go pan listonosz, a mama płacze. Ale, że jest też smaczna zupa z koziego mleka, gęsta, z zacierkami.

O starej Talarzycy

(...) Ona wysiadywała tam od zawsze. Tkwiła na rozlewisku jak duża, błotna pajęczyna, a smugi słońca na jej spłowiełej chustce przybierały groźne kolory. Krzesło miała z wyciętą dziurą i wiaderko pod spodem. I nigdy się nie ruszała. Była jak dziadkowy gnom z bagiennej gliny, który chronił od złego naszą kozę. Wszyscy mówili, że Talarzyca ma chyba ze sto lat albo i więcej, bo nikt nie pamiętał jej życia.

Wtedy, jak położyli ją na brudnych deskach, to od razu zaczęła straszyć dużych i małe dzieci z bagien. Ktoś powiedział, że ta stara wcale nie umarła, tylko zeszcła ze starości, dlatego straszy. A ksiądz w kościele kazał się modlić, bo czy jej ciało żyje, czy nie, to tylko wie jeden Pan Bóg, który jest w niebie.

Ale jak był różaniec, to ja widziałam, że ona otwiera oczy i grozi palcem.

O głupim Stachu

(...) Nasze rozlewisko sięga aż po bagna. W tamtym miejscu przepływa rzeka Studnica i wiercą się w wodzie drobne uklejki. Jak się zaprzeć na kępie i złapać za zwisające łoży, to można popluskać sobie nogami po

sam muł i patrzeć, jak rybki wirują śmiesznie. Najlepiej być na bosaka, ale czarne pijawki tylko czekają, żeby przyczepić się do nóg. Mój brat Sławek jest gruby i nie wpada za głęboko. Helenka się z niego śmieje, że tłuszcz lubi pływać. A krowy od Bojków tylko jedzą trawę i mają miny, jakby poza łąką nic ich na świecie nie obchodziło.

Zimą na rozlewisku mocno zamarza. Można się ślizgać, jak kto tylko lubi. Sławek to nawet jeździ na plecach, bo ma kozuch poniemiecki, co go nasz dziadek znalazł na strychu.

W każdą wigilię Stachu od sąsiada wyrąbuje przeręble i łapie ryby „na kiwajkę”. Wtedy akurat padał śnieg, równiutko zasypał lód i przykrył calusienkie rozlewisko. Jak wyciągali Stacha, to był cały szklany. Już nie oddychał, tylko błyszczał jak Kaj z naszej książki o Królowej Śniegu.

O naszym podwórku

(...) Latem po całym podwórku biegają różne dzieci zza bagien. My też - bez butów, na bosaka, bo mama mówi, że szkoda niszczyć. Niech zostaną do szkoły i do kościoła. Są też kury, myszy, pszczoły i pełno wszystkiego. I chrabąszcze, co nasza kwoka strasznie lubi. Ona wysiaduje na jajach, żeby były kurczaki na rosół dla Sławka, który nam często choruje.

Po kurach walają się gówienka. Jak wyschną na całkiem twardo, to Antek ładnie nimi rysuje na ścianach baraków. Ten Antek jest bardzo brzydki, bo kuleje i nie ma jednego oka, ale rysować potrafi pięknie.

Pod poniemieckimi barakami mieszkają dzikie króliki. Rzucamy w nie kamieniami, a one strasznie piszczą i uciekają w szuwary. Dziadek zakłada na nie wnyki. Jak się któryś da złapać, to jest na obiad w niedzielę. Mama mówi, że darmowy i na dodatek bardzo smaczny.

O Alusiu i duchu głupiego Józka

(...) Za krzakami na nowym kocu leży taki Aluś, co zawsze czyta grube książki. Jest ładny, czysty i bardzo mądry. Ja i Janka strasznie się go wstydzimy. A jego babcia ma krzywy nos i krzyczy do dzieci *raus*. Bo to jest poniemiecka Baba Jaga i czas najwyższy, żeby wyjechała do swoich, za Odrę - Tak powiedział kiedyś do mamy nasz dziadek Franek.

A w ziemiance za barakami, tam gdzie mama hoduje świnie, straszy duch głupiego Józka. Bo on naszej Jance zrobił w lasku coś takiego, że długo leżała w łóżku i nie odzywała się do nikogo. Potem, jak ten Józek wykopywał skarby po Niemcach, to rozerwała go bomba i Janka powiedziała, że dobrze mu tak.

O Stelli, że jest śliczna i siedzi w pierwszej ławce

(...) Ona jest jak lalka w różowej sukience, a pani od polskiego powiedziała kiedyś, że jej imię – to gwiazda. Chociaż ja, w domu, w moim małym lusterku, jak zamknę oczy i zaraz je otworzę, to też jestem przez chwilę jak Stella, z lokami, naprawdę. Ale bym się wstydziła komukolwiek o tym powiedzieć. Mama mi mówi, że chociaż bracia mnie przezywają krótkowłosek-długonosek, to mam się tym wcale nie przejmować, bo za mokradłami mieszkają bardzo biedne dzieci, które zamiast włosów mają strupy, a i tak zawsze są wesołe.

Raz w naszej klasie też było wesoło, bo pani nauczyła dzieci przedstawienia o królownie. Ja i Janka nadawałyśmy się na żaby, a Stella została królowną w złotej koronie. Mnie i Jance mama kupiła nowe rajtuzy i sandały, żeby było ładnie. Ale chłopaki i tak się z nas śmiały - ropuchy, ropuchy...

A Stella tak pięknie tańczyła. I pani dla niej grała na wielkim fortepianie. Myśmy skakały z tyłu. I też się cieszyły, bo pani powiedziała, że stanowimy tło dla prawdziwej artystki.

O moim bracie Sławku

(...) Puścił baka i bał się poruszyć. Klasa pokładała się ze śmiechu, a pani za karę posadziła go w osłej ławce. Z tego wstydu chciał umrzeć. Potem już nie, bo dziadek zabierał go nad staw, na krasnopióre płotki. Łapali je na białe robaki, które wierciły się w puszcze. Zupełnie jak te w naszym wychodku. A brat brał je w dwa palce, nakłuwał na haczyk i zaraz potem, bez umycia rąk, jadł chleb ze smalcem i grubo cukrem, który zawsze podkradał mamie.

W ogóle miał pomysłów. Raz wykombinował, że w klatce na króliki z małej jaszczurki wyhoduje dużego krokodyla. Ale jaszczurka szybko zdechła i trzeba ją było zakopać. Postanowiliśmy, że w tym pudełku od Janki, po jej lekarstwie. Ona na coś chorowała i miała ich aż trzy. To jedno, które nam odżałowała, było bardzo piękne, z przegródkami. Pisało na nim Penicylina. Dołożyliśmy tam mysz złapaną na łapkę, suchą muchę z okna i łysego ptaszka, który akurat wypadł z gniazda. Kiedyś później zrobiło nam się tego pudełka szkoda, odkopaliśmy grób, ale tam już tylko strasznie śmierdziało.

O tym, że bratu urosły nogi

(...) Wtedy, na wiosnę, bratu tak urosły nogi, że nie mógł wcisnąć zeszłorocznych pepegów. Mama poobcinała mu paznokcie, że aż z dużego palca zaczęła kapać krew, ale buty i tak nie chciały wejść. Pani Lefferowa poradziła, że lepiej obciąć czubki w butach, niech nogi mają swobodę. Mama tak właśnie zrobiła i stopy weszły. Tylko wieczorem, po bieganiu, jego palce były całe czerwone i zapuchnięte. I nie pomogło nawet jakieś specjalne smarowidło od takiej dziwnej babki, która mieszkała za lasem. Wtedy dziadek przyniósł mu poniemieckie łapcie ze strychu. Były za duże i tak szurały, że brat już przez całą wiosnę nie mógł się z nimi bawić w berka. I strasznie płakał.

O mnie, o makach i o odważnym Kaziu

(...) Płatki już opadły, ale makówki są jeszcze zielone. Gdy dojrzeją, powyjadamy z nich środki. Będziemy znowu turlać się po trawie, aż zaśniemy na mokrej łące. Musimy uważać na szczypawki i włochate robale, bo włożą pomiędzy palce u nóg. Ale, co tam!

Na poziomki trzeba przez grzęzawisko, czołgać się na czworakach po grubych gałęziach i trzymać się mocno za ręce. Kazio ma tylko jedną. Drugą kiedyś mu urwało. Dziadek mówi, że to jeszcze wtedy, jak była wojna. Ale Kazio i tak nie boi się niczego, nawet ostrego noża. Wycina nim jakieś białe korzenie i zaraz je zjada.

Dzisiaj jest czarny wieczór. Na bagnach wyrosła mgła, jak dym na łące u tego pana, który pali suchą trawę. Mama bardzo się o Kazia boi, bo kładka ma dużą dziurę, a jego wciąż nie ma.

O biednej Chrumce (...)

Raz, jak zakwitły śnieżynki, to mama się strasznie zmartwiła, bo nasza świnia zachorowała na reumatyzm. Pełno deszczu się na nią wylało i nawet nie pomogło, że posmarowali jej nogi grubo smalcem i zawinęli ciasno w szmaty. Ona i tak, biedna nasza Chrumka, nie dała rady chodzić. Więc postanowili ją zabić.

Dziadek uwiązał świnie do drzewa, gdzie stało pełno dzieci. Chciał dużym nożem w serce, ale poszło za bardzo w bok. Świnia kwiczała na całe podwórko, a krew sikała jak z sikawki tego pana strażaka, co kiedyś gasił pożar u Dopierałów. Dopiero nasz pan sąsiad trafił, w samo serce. Chrumka upadła na trawę i miała strasznie czerwone oczy. Ja i brat płakaliśmy i nie chcieliśmy później tego mięsa jeść, ale dziadek na nas krzyczał, i musieliśmy.

O słodkim miodzie i o dziadku, który gdzieś nam zaginął

(...) Wszystkie dzieci najbardziej się cieszą, jak dziadkowe pszczoły fruwały, bo jest wtedy w sadzie pełno motyli i dziadek daje każdemu do ręki plasterki miodu. I zawsze kwitną późne stokrotki. Mama mówi, że to anioły, bo są piękne jak nasz poniemiecki ze strychu, co w święta Bożego Narodzenia wisiał na czubku choinki i śpiewał *Stille nacht*.

Tylko że nam się teraz strasznie chce płakać, bo nasz dziadek gdzieś zginął. Właśnie wtedy, gdy wszystkie dzieci były w lasku na orzechach. Orzechy są bardzo smaczne - trzeba je najpierw w dwa kamienie, potem wyskubać i sobie chrupać. W tym lasku często włożą w nas kleszcze. Wieczorem mama je chłapie okowitą i wydłubuje... Ale my się bardzo martwimy, że naszego dziadka nie ma.

O naszym dziadku jeszcze raz

(...) Pod lasem i nad mokradłami zawsze wiszą mgły. Tam trawy się kołyszają w gniazdowaniu, bo lipiec, i pisklaki się pierzą – mówił. A tu jest lustro, w którym widać niebo, moja kochana wnuczko. Dziadek zawsze wszystko tłumaczył - że nie wolno skakać po kępach i nie rzucać kamieniami w torfowisko, bo topielica wciągnie.

Bagna świeciły cudnie od drobnusieńkich jaskrów. Czasy zdawały się dłuższe od zwyczajnych. Wciskałam piąstki w jego duże ręce – bezpiecznie i ciepło.

Wtedy było już ciemno. Dziadka ubrali w niedzielny garnitur po tacie. Nie oddychał. Pełno było na nim lepkich kwiatków z bagien. Jak się modliłam, to na mnie patrzył. Naprawdę. Później już zawsze bałam się nocy.

O Sławku, i że ja też byłam chora

(...) Jak znowu przyszła wiosna, to Sławek musiał pić smalec wytopiony z psa. Z tego Burka, co był obdarty ze skóry i wisiał na haku w naszej zimnej komórce. I nie wolno było nikomu o tym mówić, bo wujek go złapał na pętlę, którą ukręcił z ukradzionego drutu. A mama zrywała w lasku klejące czubki z sosenek, i później je długo gotowała. Też dla Sławka. Dosypywała do nich dużo cukru. To było lekarstwo, które Sławek bardzo lubił. Nawet czasem dawał mi trochę na łyżeczce. Tylko że ja nie mogłam się z nim bawić, żeby się od niego nie zarazić. Chociaż my i tak uciekaliśmy za lasek, aż pod bagna, gdzie nikt nas nie widział.

Jak byłam bardzo chuda i blada, to jakaś pani zawiozła mnie na rowerze gdzieś daleko. Musiałam tam w samych majtkach wejść do ciemnej komórki, a pan z brodą, w białym fartuchu, zbadał, że mam chore płuca.

Później długo piłam gorzkie lekarstwo i było mi smutno, bo nasza mama zawiozła Sławka pociągiem, gdzieś jeszcze dalej. Tam, gdzie chore dzieci zdrowieją. Ale on i tak umarł.

O tym, że wciąż się boję

(...) Już nie ma Janki i Sławka, a za bunkrem ponemieckie groby. Tam znów zakwitły nasze zawilce. Kiedyś wszyscy zbieraliśmy je w bukiety do ładnego pokoju, i mama się cieszyła. Teraz jestem sama i mam lęki. Z tamtych grobów wyskakują szczury i świecą jakieś dziwne oczy. Na pewno ponemieckie duchy, i serce mi wtedy strasznie bije. One mają rozczochrane włosy i krzyczą do mnie po ich języku.

W szkole, w ławce, teraz siedzę sama, w wyblakłej sukni. Jeszcze tej z Unry. Obgryzam paznokcie, bo się boję, że nie zdążę do ubikacji, jak wtedy, gdy te z pierwszej ławki włożyły mi do bułki zdechłą muchę, a pani powiedziała, żeby nie zawracać jej głowy bzdurami...

Po latach (...). 2015

Tyle we mnie tamtego. Tyle pamięci po obrazach, które wracają, przechadzają się, przeciągają i przekomarzają. Jestem w nich znowu infantylna, noc otulam po samą szyję...

Strach to, czy tylko dawne, irracjonalne lustro?



XXIII Konkurs literacki

Krajobrazy Słowa

Dina Staszak

godło „Musztardowa”

III nagroda w dziedzinie prozy

Dina Staszak

Urodziła się w Bytomiu w 1991 r. Od dziecka interesowała się literaturą. Pierwsze próby pisarskie podjęła w wieku dziesięciu lat. Pięć lat temu rozpoczęła studia polonistyczne na Uniwersytecie Śląskim w Katowicach. Aktualnie jest na ostatnim roku i pisze pracę magisterską poświęconą twórczości Joanny Bator i jej ostatniej książce „Wyspa Iza”. Oprócz tego pracuje w sekretariacie szkoły językowej w Piekarach Śląskich. Dotychczasowe osiągnięcia na polu literackim: I miejsce w konkursie literackim im. S. Żeromskiego organizowanym przez Muzeum Lubelskie, wyróżnienie w ogólnopolskim konkursie organizowanym przez Kozienicki Dom Kultury, publikacja opowiadania „Po śladach kota” w antologii pokonkursowej, I miejsce w miejskim konkursie literackim organizowanym przez Miejską Bibliotekę Publiczną w Bytomiu.

Przemiany

W tamtym okresie w domu wciąż brakowało wody. Pijana snem odkręcałam rano kurki i słyszałam tylko głuchoe warknięcia kanalizacji. W pokojach i kuchni wciąż było szaro, a kiedy wychodziło się na dwór i zadzierało głowę do góry, oczom ukazywało się jedynie szare, mętne niebo. Kiedy spoglądałam w lustro, widziałam poszarzałą twarz, kiedy patrzyłam na ojca – poszarzałe włosy. Nawet kot nabrał burzych kolorów. Tylko Nikodem nie uległ tej listopadowej przemianie – dym z jego papierosów pozostał srebrzysty, nie szary.

Ilekoć w domu nie było wody, moja matka wysychała. Na nic zdała się wypelniona wodą miednica postawiona pod jej łóżkiem, wilgotne okłady kładzione na czole, troskliwie pielęgnowany na ścianie grzyb. Twarz matki coraz liczniej pokrywały bruzdy i zmarszczki, upodabniając ją tym samym do suszonej śliwki. W poszukiwaniu wody niebiesko-zielone żyły drażyły jej skórę i wypęły na wierzch, a ja załamywałam ręce, bo nic innego nie mogłam zrobić. Matka spała, a snów zimowych budzić nie wolno.

Moje sny rozplýwały się w chwili, kiedy Nikodem kładł mi ciepłą dłoń na brzuchu i pozwalał, aby jego usta ułożyły się na kształt bezradności, tak jak wtedy, kiedy nie można komuś czegoś dać, choć bardzo się tego pragnie. Wgniatł mi zapach tytoniu we włosy i wybudzał z tej pozycji embrionalnej, wyławiał ze snów, z ich braku, a ja bardzo chciałam dalej tak leżeć i leżeć, zwinęta w kłębek, leżeć bezmyślnie, beczynn timer,

beznamiętnie. Przyzwalać na mimowolne ruchy palców u stóp i dłoni, jakby w przedśmiertnych drgawkach.

Kiedy Nikodem pytał, co mi się śniło, opowiadałam mu długie historie o morzu, które unosi mnie na powierzchni jak pustą butelkę, jak opróżnioną tykwę. O jego szumie, o łaskoczących moje stopy ławicach ryb, o wiszącym nade mną bładozielonym niebie. Morze kołysało mnie jak matka swoje ukochane dziecko, całowało w czoło i nuciło pieśni o syrenach i marynarzach. Nikodem odpowiadał, że nic z tego nie rozumie, bo kiedy odkrył mnie śpiącą w pościeli, miałam na twarzy wyraz obrzydzenia, strachu i przerażenia. Kiedy mi o tym mówił, przypominałam sobie ostatni wątek moich snów – ból w lewej nodze i zabarwianie się morza na czerwono, na wzór przemiany wody w wino, ból i uczucie, jakby coś podgryzało mnie w stopę. „Dobrze więc, że cię obudziłem” – mówił Nikodem i przytulał mnie do siebie, a ja udawałam, że nie widzę, jak chowa pod siebie swoją drugą i trzecią parę nóg.

O czym były sny mojego ojca? O tym, poza nim samym, nie wiedział nikt. Podejrzewam, że kiedy zamykał oczy, jego wypchane ptaki rozkładały skrzydła i wydawały z siebie charakterystyczne dla ich gatunku odgłosy, pisklaki wykluwały się ze złoto nakrapianych wydmuszek, a porozrzucane po całym strychu pióra zbijały się w wachlarze i – tęskniąc za dalekimi krajami – obijały o szyby zamkniętych okien. Myślę, że kiedy ojciec się budził, natychmiast zapominał o swoich snach i zaraz zabierał się do pracy. W przeszłości był znanym ornitologiem, jednak po przeczytaniu kilku opowiadań pewnego polskiego prozaika porzucił swój fach twierdząc, że dosyć ma już chłodnej materii. Ojciec zatęsknił za mistycyzmem i czymś, czego nie potrafił nazwać, a co jego akademicki koledzy złośliwie nazywali krainą ułud.

Matka nie miała nic do powiedzenia – wciąż spała i o niczym nie miała pojęcia. Grzyb na ścianie w jej pokoju zaledwie wypuścił pędy i daleko mu jeszcze było do pełnego rozkwitu.

Kiedy dowiedziałam się, że Nikodem dostał to zlecenie, ucieszyłam się jak dziecko i z radości upiekłam maleńkie pierniczki w kształcie motyli. Najlepiej smakowały, kiedy nurzało je się w gorzkiej, czarnej kawie i takie ociekające, z czekoladą roztopiającą się na ich powierzchni, zaraz wkładało do ust. Nikodem zjadł kilka pierniczków i opowiedział mi o zleceniu – państwowe muzeum na gwałt potrzebowało kilkunastu tablic z wybranymi owadami, ponieważ miał się tam wkrótce odbyć międzynarodowy zjazd entomologów i wstyd byłoby pokazać cudzoziemcom dotychczasowe, porośnięte kurzem zbiory. Jako że praca miała być wykonana w jak najszybszym tempie, muzeum płaciło dobrze i obiecywało współpracę w przyszłości.

Kiedy już zjedliśmy wszystkie pierniki, zapytałam Nikodema, jakie owady ma spreparować, a ten wyrecytował długą litanie nazw łacińskich, z których żadna nie była mi znana. Polskie odpowiedniki również brzmiały obco. Nikodem wyciągnął więc z tylnej kieszeni notatnik i ołówkę, po czym zaczął rysować dziwne dla mnie istoty, dodając przy tym uwagi o ich ubarwieniu, trybie życia czy rytuałach godowych. Przyglądałam się jego szkicom i nie mogłam uwierzyć, że podobne stwory zamieszkują nawet odległe, zamorskie krainy, głośno jednak powiedziałam: ten tutaj ze skrzydełkami przypomina mi trochę modliszkę.

Czasem wyobrażam sobie, że nie ma cię, ponieważ jestem ja, na zasadzie: człowiek nie powinien bać się śmierci, bo kiedy on żyje, nie ma jej, a kiedy ta w końcu przybywa, znika sam człowiek. Czasem wyobrażam też sobie, że gdybyś jednak się pojawił, ja sama nie znikłabym, bo w jakiś dziwny, niezrozumiały sposób warunkujemy swoje - choć odległe - istnienia. Czasem jednak dochodzę do wniosku, że byłoby o wiele prościej, gdybyś pozostał początkującym malarzem, jakiego poznałam kilka lat temu, wciąż usiłującym pochwycić pędzlem ciepłą krew klonów.

Modliszka, którą przywiódł mi na myśl jeden ze szkiców Nikodema, często prześladowała mnie później w snach. Z chwilą, kiedy zamykałam oczy, czułam, jak z pleców na wysokości łopatek wyrastają mi

silnie unerwione skrzydła, a z brzucha dodatkowe pary nóg, dzięki którym w mgnieniu oka mogłam znaleźć się w pobliżu lodówki. Moje myśli błądziły wokół jedzenia: soczystych, grubo krojonych plasterów szynki, rozmrożonego mięsa wołowego, z którego skapywała woda pomieszana z krwią, pęt surowej kielbasy. W tych dziwnych, przesyconych zapachem mięsa, snach - otwierałam drzwi lodówki i wypychałam sobie do ust kawałki kurczaka, co, o dziwo, dawało mi niewypowiedzianą satysfakcję. Jednocześnie nie potrafiłam oderwać oczu od własnego brzucha, zielonego i mięsistego, oraz znajdującej się obok sypialni, w której ciepła, pełna pierś matki wznosiła się i opadała podczas snu.

Kiedy w końcu budziłam się, nieistotne czy rano, czy w środku nocy, natychmiast odrzucałam kołdrę, aby upewnić się, że nie jestem ani modliszką, ani żadnym innym owadem. Wzrok natychmiast padał na brzuch, który wciąż był biały i płaski, i który sprawiał, że zaraz znowu opatulałam się kołdrą i zwiјаłam w kłębek, w sprawdzoną pozycję embrionalną, z której płodu uwalniał mnie dopiero Nikodem. Po przebudzeniu piłam czarną gorzką kawę i myślałam o ojcu, którego dawno, zbyt dawno już nie odwiedzałam.

Ilekoć myślę o jesieni, przypominam sobie drewniany most pośrodku parku. Staliśmy tam, oparci o barierkę; ty opowiadałeś o niebielonych płótnach i ich oczekiwaniu, a ja zastanawiałam się, dlaczego musiałeś to być akurat ty. Wieczór mrużył oczy od popołudniowego słońca i słychać było skrzypienie desek mostu – to październik zakradał się cicho, na palcach; chciał przejść niepostrzeżenie, ale most, stary i drażliwy, jęczał z byle powodu. Spłoszony miesiąc chował się za balustradą i przeklinał swój ciężar – przemoczone runo leśne, przejrzałą żółć kasztanowców, kieszenie wypchane owocami jarzębiny i żółędziami. Październik wolno rozżarzał się; wzbierał w nim gniew na wspomnienie o wrześniu, wygrzewającym się beztrząs pod złocistym parasolem sierpnia.

Nadszedł czas, kiedy w powietrzu dało się już wyczuć zapach pieczonych jabłek i popiołu, kiedy z niedopalonych ognisk tworzyły się smugi

dymu. W chwili tej powstawały z ziemi czerwone liście klonu i, zakrwawiając wszystko, wyprawiały swoje dzikie harce. Właśnie wtedy postanowiłam utrwalić ich złowróżebny kolor.

Drzwi pracowni ojca były, jak zawsze, zamknięte - ciężkie, ciemnobrązowe, nie przepuszczające żadnych dźwięków. Postawiłam tacę ze śniadaniem na podłodze i ostrożnie je uchyliłam. Już w progu uderzył mnie zapach kurzu i zatęchłego powietrza. Zajrzałam do środka - w pracowni panował nietypowy jak na ojca porządek. Zniknęły stosy porozrzucanych po wszystkich kątach książek i łaskoczących je kłębow pierza, zniknęły wszechobecne wydmuszki i szczątki ptasich skorupki. Wypchane ptaki nie wały się jak niegdyś po podłodze, ale tkwiły na szczytach mebli i z godnością pozbywały się starych, zmatowiałych piór. Wszystko to jednak, równo ułożone na swoim miejscu, porośnięte było grubą warstwą kurzu. Nawet kilka atlasów przyrodniczych leżących na biurku, otwartych gdzieś pośrodku, pokrytych było charakterystyczną powłoką szarego mchu, jakby od lat nikt ich nie dotykał.

Ojca nie było - być może tkwił na dachu naszego domu, wyglądając odlatujących na zimę kluczy ptaków, które miały mu pomóc w rozwiązaniu tajemnic mojej matki, a jego żony. Ojciec z roku na rok zmniejszał dawkę snu, ograniczając się do niezbędnego minimum kilku godzin, matka z kolei ten czas spędzała na pograniczu jawy i snu - resztę doby twardo przesypiała. Porozumienie, czy choćby zetknięcie się ojca i matki było więc niemożliwe - kluczyli w zbyt odległych od siebie przestrzeniach.

Postawiłam tacę z kawą i smażonymi jajkami na biurku, obok książek, i rozejrzałam się po pracowni - nie zdziwiłabym się, gdyby ojciec uwił sobie wygodne gniazdo w którymś kącie sufitu, wśród pajaków, i - podobnie jak one - czekał teraz na jakąś tłustą muchę. Przed oczyma natychmiast zarysowały mi się pełne podstęp i ostrożności ruchy pajaków, które zniemacka atakują swe ofiary i wloką je, półżywe, do ciemnych pułapek.

Już chciałam pozostawić tacę ze śniadaniem na biurku i szybko wyjść z pracowni, kiedy okazało się, że ojciec nie tkwi ani pod sufitem, ani na dachu, ale obecny jest tutaj – na podłodze swojej własnej pracowni.

Twierdziłeś, że żyłki na liściach klonu pękają od nadmiaru tłoczonej przez drzewo krwi, która wydostawszy się wreszcie na zewnątrz, zabarwia odrobiną swego koloru szare mapy miasta. Analizowałeś rozgałęzienia ulic i chodników, studiowałeś układ powojennych kamienic – we wszystkim widziałeś nieuporządkowany system krwionośny, blady i wąty jak u anemika. Do dziś nie wiem, jak doszedłeś do wniosku, że wszystkiemu winne są właśnie klony, które pochłaniają każdy, najmniejszy nawet skrawek czerwieni, rudości i różu, w zamian dając zaledwie garść jesiennych liści o płomiennym kolorze. Podejrzewam, że żyłki tych liści stopiły się z twoimi naczyniami krwionośnymi i tam, wewnątrz twojego organizmu, popękały, a krew – twoja i klonu – przemieszała się. W końcu postanowiłeś przelać tę ciepłą, pulsującą krew na płótna, mimo iż tłumaczyłam ci łagodnie, nauczona doświadczeniem, że to niemożliwe.

Zawzięty od czerwieni, wyciskałeś na wierzch dłoni kolejne tubki farby i smagałeś sobie pędzlami palce, wciąż niezadowolony z efektów, wciąż nieusatysfakcjonowany. Twoja walka z płótnami trwała długo, ale ja byłam cierpliwa. Podsuwałam ci ciemne, brudne rudości, karminy, rdzę, szkarłat, róż indyjski i pompejański, rozbielone bordo, cynober, maki. Czerpałam też pełnymi garściami z natury, przynosząc kiście jarzębin i roztarte owoce dzikiej róży, a raz nawet znalezione w parku gąsienicę, na grzbiecie której wyrosła piękna, ciemnoczerwona szczecina.

Jedynie gąsienica zdołała przykuć twoją uwagę. Położyłeś ją na stole i analizowałeś kolor gęstych, króciuteńkich włosków, połyskujących w świetle lampy jak gryczany miód. Po kilku godzinach pracy z paletą i tuzinem farb oświadczyłeś wreszcie, że rozwiązałeś zagadkę klonów. Był późny wieczór i poszedłeś spać – po raz pierwszy od wielu dni.

Rano obudził mnie twój wrzask. Gąsienica przeobraziła się w szarą poczwarkę, a od twojego szału zapłonęły płótna.

W tamtych dniach Nikodem cały swój czas poświęcał studiowaniu ksiąg poświęconych robactwu i technikom preparowania owadów. Zamknął się w ciemnej piwnicy i rzadko z niej wychodził, przez co stał się chorobliwie błądy i zmizerniały. Hodując w sobie bezsenność niczym szaroburą ćmę, nie rozumiał mojej potrzeby zamykania oczu o północy i odpływania w mętną przestrzeń snu. Skutkiem tego, ilekroć męczyły mnie koszmary, sama musiałam się z nich wybudzać i uprzytamniać sobie, że martwy embrión w słoju nie może przecież otworzyć oczu. Pozycja, w jakiej spałam w ciepłej pościeli, przestała dawać mi poczucie bezpieczeństwa. Nikodem już nie przychodził wyławiać mnie z łona snu, w którym mościłam się wygodnie, ssąc kciuk – zamiast tego noce spędzał na wyczekiwaniu dziwnych ludzi, którzy pod pachami przewozili skrzynki z owadami i ćmili tanie papierosy, od których jeszcze bardziej szarzało powietrze.

Podczas gdy moja matka spała i z godziny na godzinę coraz bardziej wysychała, ojciec czytał o ptakach i arce Noego, o strychu, fantastycznych wybuchach kolorowości i pewnym fecht mistrzu wyobraźni, który z czasem całkowicie zawładnął umysłem mojego ojca. Nikt w domu nie miał najbłedszego pojęcia, co się dzieje na poddaszu, nie było więc nikogo, kto by w porę poskromił myśli i działania ojca oraz wskazał mu właściwy, bliższy dolnym piętrom kierunek.

Tymczasem ojciec uznał, że postaci, która obecna jest w czytanych przez niego opowiadaniach, należy oddać należny hołd. Tygodniami modlił się i klęczał przed niegrubą książką, przestrzegał ścisłego postu i odmawiał sobie kąpiel. Nie wiedzieć kiedy, postać fikcyjna urosła w jego oczach do rangi prawdziwej istoty duchowej na miarę boga. Lęk i bojaźń ojca spotęgowały się – zwykłe modlitwy w kącie poddasza już nie wystarczały. Bóstwo było wyraźnie niezadowolone ze sposobów oddawania mu czci, albowiem wyło po nocach północnymi wiatrami i ani myślało przestać.

Ojciec wciąż klęczał, bijąc pokłony przed świętą księgą i śpiewając pobożne pieśni. Cierpliwie wyczekiwał ze strony bożka podmuchu aprobaty i ciszy, te jednak długo nie przychodziły.

Pewnej nocy ojciec mój doznał wreszcie objawienia – należy wybudować ołtarz, który pełen będzie dowodów uwielbienia, poświęcenia i szacunku ze strony śmiertelnika, jakim był on sam. Podczas wizji oczom ojca ukazał się ów przybytek – piękny i wzniosły, przyozdobiony kolorowymi piórami i gałązkami brzozy. Ojciec ocknął się i zapłakał – jakże wdzięczny był bóstwu za to objawienie!

Kilkanaście dni później wizja stała się rzeczywistością. Ojciec zasłonił szarą tkaniną północną część pracowni i znajdującą się tam ścianę zamalował złotą farbą. Na jej środku wybudował ołtarz – cały biały, z wtapiającymi się w niego girlandami atlasowych gałązek, obficie przystrojony piórami sójek, bażantów, zagranicznych papug z wielkimi dziobami i karmazynowych flamingów.

Po ukończeniu dzieła ojciec padł przed przybytkiem na twarz, kształtem przypominając ptaka z rozpostartymi skrzydłami i wyciągniętą przed siebie głową. Leżał tak godzinami, składając bóstwu hołd i szepcząc pochwalne modlitwy. W powietrzu dawał się wyczuć zapach kurzu i niemytego od dawna ciała, a także – aprobaty. Północne wiatry przestały wiać. Ojciec nasłuchiwał, cały pogrążony w ekstazie. Wreszcie bóstwo uznało, że to, co stworzył ojciec, jest dobre, i posłało olbrzymiego kruka, który, wpadłszy przez dziurę w dachu do pracowni, zdarł szarą tkaninę zasłaniającą ołtarz. Właśnie w tym momencie zobaczyłam mojego ojca.

Krew klonów rozplynęła się wraz z nadejściem listopada. Szarobura poczwarka, która najwyraźniej pomyliła pory roku, tkwiła nietknięta w kącie twojego biurka i zwiastowała czas nieurodaju. Szał purpurowych płócien minął – zostały z niego tylko kupki popiołu, których nie śmiałam uprzątnąć. Całymi dniami włożyłeś się bezczynnie po domu, analizując zza okien stygnący błękit powietrza. Nadchodząca szarość nieba

całkowicie cię pochłonęła, wróżyłeś z niej marazm i przedłużające się oczekiwanie. Resztki czerwonej farby na pędzlach i paletach ciemniały i kruszyły się jak kawałki lodu, a wciąż rozstawione sztalugi przeżyły zmęczone kręgosłupy i trwały w tej mętnej, beznadziejnej nudzie.

W końcu szarość przeniknęła wszystko – nasze twarze, kosmyki włosów, palce u dłoni, poranne ziewanie nad kubkiem kawy. Ruchy stały się powolne i dziwnie matowe, a głos stracił barwę tak, że niemożliwością było wycucie w nim jakichkolwiek emocji rozmówcy. Stagnacja z wolna pochłaniała każdą naszą czynność. Nawet rodzące się gdzieś w głębi oziębiałego umysłu pytanie, jak długo jeszcze potrwa to wszystko, straciło sens.

Tymczasem poczwarka ciemniała i stawiała się coraz mniejsza i bardziej pomarszczona. W chwili, kiedy postanowiłam ją wyrzucić, coraz bardziej bowiem przypominała mi zwiędłe ciało mojej matki, poczwarka pękała, wydając przy tym odgłos kruszącego się suchego liścia. Zamarłam z kubkiem śmieci w ręku i patrzyłam, jak z ciemnoburego kokonu wychylają się długie, zwinięte na końcach czułki, należące do motyla o tej samej barwie. Chciałam cię zawołać, ale zanim zdążyłam otworzyć usta, ty już stałeś za moimi plecami, czekając, aż nocny motyl wyłoni się w pełnej okazałości. Kiedy wreszcie to zrobił, wypowiedziałeś na głos jego łacińską nazwę, której nie byłam w stanie powtórzyć, i zaraz zszedłeś na dół do piwnicy, gdzie już czekał na ciebie list z muzeum, informujący o zleceniu.

Zimowe sny mojej matki musiały być miłe i spokojne, nigdy bowiem nie widziałam na jej twarzy niczego niepokojącego. Grzyb na ścianie jej pokoju zbłękitniał i zazielenił się grynszpanem, a na policzkach matki dojrzeć można było seledynowe, błyszczące drobinki, przypominające piegi. Jednak pomimo tej pięknie rozkwitającej wokół pleśni moja rodzicielka wciąż traciła wodę i coraz bardziej wysychała.

Czasami kładłam się obok matki i wsłuchiwałam w szum uciekających z jej ciała kropel wody. Przykrywałam ją szczelnie prześcieradłami,

jakby można było w ten sposób czemukolwiek zaradzić, i zaplatałam jej włosy w francuskie warkocze, tak jak kiedyś ona moje. Grzebień trzeszczał w jej włosach, a spinki łamały łodygi włosów jak suchą trzcinę, udawałam jednak, że tego wszystkiego nie widzę ani nie słyszę. Przemyślałam oczy i wspominałam przeszłość, w której matka, z bujnymi piersiami i biodrami, malowała czerwoną szminką usta i czytywała książki w wannie pełnej piany.

Potem schodziłam do mojego pokoju i zwiijałam się w łóżku w kłębek, mimowolnie oczekując pojawienia się Nikodema i dotyku jego silnych, mocnych jak kotwice rąk. Leżałam tak, podkurczając kolana i przyciągając je pod sam podbródek, trochę bezmyślnie i beznamietnie, trochę pogrążona w lęku i obawie, że nie poczuję już więcej zapachu papierosów, że nikt więcej nie wgniecie mi ich popiołu we włosy.

Ojciec leżał wciąż na podłodze przed ołtarzem i nie śmiał podnieść głowy. Jego postać pokryta była mieszaniną kurzu i łuszczącej się złotej farby, która jak lustro odbijała blask bijący od przybytku tak, że sam ojciec mienił się i błyszczał.

Ojciec-kapłan nagle ocknął się z tego złotego natchnienia, bowiem dobiegł go zapach kawy i ciepłych jeszcze, smażonych jajek. Podniósł twarz i omiótł głodnym wzrokiem pracownię. Jego oczy napotkały leżącą na biurku tacę ze śniadaniem oraz mnie. Podniósł wysoko brwi i otworzył usta, zdziwiony moją obecnością, ale nic nie powiedział. Trwał tak przez chwilę w zdumieniu, po czym wstał i podeszedł do biurka. Jego dłonie chwyciły kubek i szybko podniosły go do ust, jakby w obawie, że zabiorę mu czarny, aromatyczny napój. Ledwie ojciec przełknął kilka łyków, już jego zęby zaczęły łapczywie rozrywać pajdy chleba, jakby to było surowe mięso. Cofnęłam się do drzwi, czując obrzydzenie.

Tymczasem ojciec wypił kawę i zjadł ostatni kawałek chleba, wciąż jednak nie tknął jajecznicę. Zdawał się zupełnie nie zwracać na mnie uwagi. W końcu, szepcząc coś pod nosem, wziął z kredensu największą spośród

czaszek ptaków i położył ją na biurku. Gołą pięścią skruszył jej podstawę, która łączyła się z dziobem, i odwrócił ją wierzchem do góry, tak iż tworzyła puste naczynie. Wreszcie wziął talerz ze smażonymi jajkami i przechylił go nad ptasią czaszą, aż żółta zawartość zsunęła się do tej ostatniej. Kiedy czasza była już pełna, ojciec odłożył talerz i ukląkł przed biurkiem, po czym zaczął zawodzić ptasim głosem i wachlować rękami w górę i w dół.

Po kilku chwilach modłów i śpiewów ojciec powstał z klęczek, i, wciąż nie zważając na moją obecność, przeniósł ptasią czaszę z całą jej zawartością na ołtarz. Ponownie położył się na podłodze z rozpostartymi jak skrzydła rękami i zaczął jeszcze głośniejsze niż wcześniej modlić się i śpiewać. Jego głos coraz mniej przypominał głos ludzki, a coraz bardziej przeraźliwe wycie pewnego gatunku ptaków nocnych. Z czaszki ptaka, leżącej w przybytku, zaczęła unosić się niebiesko-złota para, a ręce mojego ojca poczęły z wolna pokrywać się błyszczącymi, czarnymi piórami. Szara koszulka, jaką miał ojciec na grzbiecie, stopniowo ciemniała i wnikała w jego chude ciało, i, podobnie jak ręce, porastać zaczęła gęstym, kruczym pierzem.

Czuąc rosnący ból w dole brzucha, wycofałam się najciszej jak umiałam z pracowni i poszłam szukać Nikodema.

Tymczasem Nikodem był jak zwykle w piwnicy i preparował swoje cenne owady, które były tak dziwne, że aż wydawały się nierzeczywiste. Dawno już tutaj nie byłam, Nikodem bowiem nie znośił czyjejkolwiek obecności podczas pracy, zdziwiły mnie więc głębokie ciemności, wśród których pracował. Jedyny, wąski strumień światła, zimny i jasnoniebieski, padał na stół, przy którym Nikodem, odwrócony do mnie plecami, ustawiał właśnie rozpinadła. Poza charakterystycznym skrzypieniem, wydawanym przez ocierające się o siebie odnóża owadów, w pomieszczeniu panowała cisza jak w kostnicy.

Chciałam natychmiast opowiedzieć Nikodemowi o tym, co zobaczyłam na poddaszu, chciałam, aby ktoś ukrócił nadprzyrodzone działania

mojego ojca i poskromił jego dziwactwa. Zanim jednak zdążyłam otworzyć usta i wypowiedzieć jakiekolwiek słowo, moją uwagę przykuły dłonie Nikodema, które dłońmi nie były. Przypominały raczej odnóża chwytne, jak u wążek albo modliszek. Mój ukochany manewrował nimi wprawnie, przebijając szpilką olbrzymiego żuka i rozkładając ostrożnie jego skrzydełka. Dopiero teraz dostrzegłam też u Nikodema zielone czułki, wyrastające mu z czubka głowy, a także dodatkową parę odnóży, która swobodnie zwisała z boków tułowia.

Czując nasilający się ból w podbrzuszu i nadchodzącą falę mdłości, wyszłam z piwnicy, zanim jeszcze Nikodem zdążył mnie zauważyć.

Myślę, że gdybyś pozostał tamtym malarzem albo tamtym entomologiem byłoby, mimo wszystko, mniej szaro i mniej jałowo. Porzucilibyśmy nieudomowienia i ciszę przepoczwarczającą się w otwartą kłótnię, zapomnielibyśmy o bliskiej mi, wysnionej pozycji embrionalnej i o twoich pretensjach do samego siebie, na które nie było żadnego lekarstwa. Gdybyś pozostał malarzem, poświęciłbyś bezsenne noce swoim płótnom i wizjom pustki rodzącej się z niczego. Jeślibyś jednak wrócił do wyuczonego zawodu entomologa, przebiłbyś ćmę bezsenności szpilką i uczynił z niej swoje najwspanialsze, a zarazem jedyne trofeum.

Szkaradny, szarobury motyl zamieształ ci w głowie niczym mocne wino. Z artysty-malarza kazał ci przeobrazić się w wymyślającego owadzie stwory projektanta, którego fantazja powołała do istnienia nawet przywożących owo robactwo kurierów. Z kolei sumiennego, trzeźwo myślącego entomologa szara ćma przemieniła w bezmyślnego truciciela latających i pełzających owadów.

W końcu motyl zniknął, dosłownie rozplynął się w powietrzu. Niestety dokonanych przez niego zniszczeń i zmian nie dało się cofnąć, pozostałeś więc ni to artystą, ni naukowcem. Ta dychotomia dobijała cię – tak, jak dobija się umierające zwierzę. Chyba właśnie wtedy zacząłeś przeczuwać, jak skończy się to wszystko, w finalnej scenie nie próbowałeś

bowiem nawet się bronić. Skazany na klęskę, przyzwoliłeś samemu sobie na odejście i zapomnienie. Poprzez nieobecność powołałeś do istnienia tęsknotę, poprzez pustkę – pełne melancholii wyczekiwanie.

Znikając, uobecniłeś się.

Bóle podbrzusza i nudności były coraz silniejsze. Położyłam się do łóżka i zamknęłam oczy. Marzyłam jak dziecko, że kiedy znowu podniosę powieki, wszystko samo się ułoży – Nikodem wyjdzie z piwnicy i zaradzi wszystkim troskom, szare do tej pory niebo nabierze różu i błękitu, ojciec obudzi wreszcie matkę. Wystarczył moment, aby zamknięcie oczu na ułamek sekundy przeciągnęło się w kilkugodzinne sklejenie ich lepkim, mocnym snem.

Śniłam o krwistych gałęziach derenia, połamanych i porozrzucanych na śniegu. Potem gałęzie zamieniły się w chochoły, a też z kolei w gromadkę małych dzieci o nienaturalnie dużych główkach. Kiedy jedno z dzieci podeszło bliżej i zaczęło szarpać mnie za kolano, otworzyłam oczy – leżałam na zalanym krwią prześcieradle, a za oknami szarzało niebo. Nie wiedząc, czy to sen, czy jawa, ponownie zamknęłam powieki – ręce wiodły mi od ciężaru czerwonych gałęzi.

Kiedy mój ojciec zamknął za sobą drzwi strychu i zaczął schodzić na dół, matka spała. Im niżej schodził, tym bardziej uwidaczniało się jego nowe, krucze oblicze – frunął, przeskakując o kilka stopni i trzepocząc mocno skrzydłami. Ciągnął się za nim długi, czarny ogon. W miejscu, gdzie wcześniej były usta i nos, teraz wyrastał potężny, ostro zakończony dziób. Oczy patrzyły złowrogo.

W chwili, kiedy ojciec znalazł się na parterze, moja matka, zmęczona wielogodzinnym leżeniem na plecach, przewróciła się na prawy bok. Ojciec rozglądał się wokół i obchodził na swych czarnych nogach wszystkie pokoje, aż w końcu stanął przed drzwiami prowadzącymi do piwnicy. Pchnął je dziobem mocno, aż odpadł z nich kawałek drewna.

Moja matka przebudziła się i podniosła obrzękłe powieki, podczas gdy Nikodem wieszał na ścianie gotową tablicę z żukiem, którego skrzydełka rozłożone były pięknie i równo jak wachlarze. Mój ukochany przypatrywał się przez chwilę swojemu dziełu – był to ostatni owad, który pozostał mu do spreparowania i umieszczenia na szpilce za szkłem. Nikodem poruszył czułkami z zadowoleniem – wykonał zlecenie przed terminem.

Matka pocierała oczy rękami, nie bardzo wiedząc, gdzie się znajduje ani jaka jest pora roku. Tymczasem mój ukochany sprzątał w piwnicy – szło mu to nieco wolniej niż zwykle, bowiem wciąż plątał się i potykał między swoimi trzema parami odnóży. Kiedy usłyszał odgłos otwieranych gwałtownie drzwi, układał właśnie na półce książki i encyklopedie. W chwili, kiedy zobaczył lecącego w swoją stronę olbrzymiego kruka, moja matka ziewnęła i ponownie zamknęła oczy, natychmiast zasypiając.



XXIII Konkurs literacki

Krajobrazy Słowa

Genowefa Światłoń

godło „Enta para butów”

Wyróżnienie w dziedzinie prozy

Genowefa Światłoń

Emerytowana nauczycielka. Otrzymała II nagrodę w konkursie „O pióro Reymonta”, wyróżnienie w konkursie organizowanym przez Muzeum w Myślenicach pt. „Ja i historia” oraz w konkursie Małych Form Prozatorskich, organizowanym przez Muzeum Stefana Żeromskiego w Nałęczowie. Jej artykuły publikowane były w prasie, m.in. w miesięczniku „Śląsk”. Dwukrotna laureatka Krajobrazów Słowa – w XX i XXII edycji.

Turnus rehabilitacyjny

Trafiła mi się Jola. Przedstawiamy się przy recepcji. Jestem trochę wystraszona: wiem, że nie wszyscy pasują do mnie. Ja nie pasuję do wszystkich. Ta moja taka w za rudych jak na jej wiek i urodę włosów. Manicure staranny, ale zbyt ostry. Imprezowa?

Ona idzie do pokoju, ja zostaję załatwić formalności. Za chwilę moja współmieszkanka wraca do recepcji, by zostawić jedyny klucz, jakim będziemy dysponować przez dwa tygodnie. Deklaruje, że mile zaskoczona pokojem!

Zabieram klucz i idę się rozpakować w pokój, którego umeblowanie niewiele odbiega standardem od wyposażenia dawnych hoteli robotniczych, z namiastką luksusu, jakim jest łazienka.

Gdybym była pierwsza, też zajęłabym to łóżko: w kącie pod ścianą, z dala od trasy głównej niewielkiego pomieszczenia. Trudno, biorę po przeciwnej stronie. Na wprost drzwi.

Na jednym z krzeseł leży kilka ubrań. Nie widzę walizki. Kładę swoją na szafie. Próbuję się zadomowić w miejscu przesiąkniętym zapachem poprzedników. Nim nie ma drugiej, wyciągam z plecaka przywiezioną z domu miksturę i ścierkę. Zabieram się do przemywania zdezelowanego tapczana, półki w łazience, brodzika i deski. Trochę załatuje octem, ale nieco oswoiłam przynależną mi przestrzeń.

Gdy wraca, zaczynamy rozmowę. Cieszy się, że wreszcie będzie mieć dla siebie dwa tygodnie. Nigdy jeszcze nie była na wczasach. Nie miała czasu dla siebie. Nie rozumiem, czemu sama wychowywała dzieci. Mąż zmarł, czy was zostawił. Zostawił. Rozmawiamy, bo ona wyraźnie potrzebuje tego. Wraca do przeszłości. Najpierw mieszkała na wsi. Teraz w niewielkim mieście, w za dużym, jak na jej obecne potrzeby, mieszkaniu.

To skleja, to zaciera zgłiszcza wspomnień. Słucham, obszywając ręcznie niby serwetki z pociętego obrusa. Tak wyciszam swoje ADHD dorosłych, mówię. Nie prowokuję jej do zwierzeń. Nie chcę grzebać w niczyjej przeszłości, by nie poruszyć lawiny niechcianych wspomnień.

Ona na to, że wychodzi ze skorupy i stara się znaleźć nowe możliwości rozwoju. Ile masz dzieci, pytam. Czwororo. Ostatnie urodziłam po odejściu, po ucieczce. Nie mogę z dziećmi rozmawiać o przeszłości, odpowiada. Może jeszcze nie teraz. Muszę zaufać własnej intuicji. Podejmowanie ryzyka jest przerażające, ale nie aż tak, jak stanie bez ruchu. Co mi pomagało? Długo, długo nic. A potem nawet bajki czytane przez chwilę dzieciom, bo to obroniłam. taką chwilę wieczorem dla nich z książką. I pewnego razu czytałam, nie pamiętam tytułu, o pragnieniu garnka złota.

Zwykle człowiek czeka, aż złoto stanie na jego drodze. A nie ma co czekać. Trzeba starać się swoje złoto wykopać. Tym odkopanym skarbem był szacunek dla samej siebie. Bo już nie mogłam znieść myśli, że za chwilę dorwie mnie ten mój ślubny, przycisnie mi twarz poduszką i będzie gwałcił. A ja będę się modlić, łkając bezgłośnie, by wreszcie skończył, by wreszcie zsunął się ze mnie. Wtedy odrzucę z twarzy poduszkę i ocknę się. Nie, nie udusił mnie. Jeszcze żyję. Dzieci mają matkę.

W pewnym momencie zdałam sobie sprawę, że im dłużej będę trwać w mrocznym zaufku, mogę nie zdążyć. Aż nadeszła chwila, w której usłyszałam jakiś głos, nie czekaj na pewien dzień. Ten dzień jest dzisiaj. Wykorzystaj ból do uleczenia swojej duszy. Jeśli tego nie zrobisz, doprowadzisz się do ruiny. Ból jest alarmem.

Kiedy przychodzi czas posiłku, musimy przerwać naszą rozmowę. Wychodzimy, by przejść do głównego budynku, gdzie stołówka. Po drodze widzimy innych uczestników turnusu. Pan prowadzący przed sobą chłopca niedowidzącego uczy go poznawać drogę, odliczając wspólnie stawiane kroki. Chłopiec oparty o pierś mężczyzny idzie przodem podtrzymywany rękami opiekuna. Nogi wyżej, raz dwa, raz dwa. Za kilka dni dowiemy się, że chłopiec jest i pozostanie niewidomy. I ma wiele innych defektów wynikających z wcześniactwa i dramatycznego, jak jeszcze dowiemy się później, porodu.

Tymczasem ośrodek tak średnio przystosowany do pobytu osób niepełnosprawnych. W naszym budynku nie ma drzwi automatycznie otwierających się. Podjazd dla osób na wózkach tylko tam gdzie stołówka. Ci z chłopcem mają kwaterę w naszym na parterze. Trzy schody w górę uniemożliwiają wjazd wózkiem do korytarza. Niech pani nie dźwiga, słyszę, gdy próbuję pomóc. Za ciężki. Faktycznie. Toporny, trudny do kierowania. Kto dał atest na taki sprzęt, powinien na co dzień go używać, życzyć w myśli.

W stołówce miłe powitanie przez szefa. Przeprasza za niedogodności. Szczególnie wita grupy, które są kolejny raz. Dostaje brawa. Będzie nam dobrze, co tamci już sprawdzili, bywając w poprzednich latach. Zaprasza na jutrzejszą powitalną kolację z muzyką i piwem. Znów dostaje brawa, na które poznany chłopiec reaguje usiłowaniami zatkania sobie uszu piąstkami szczupłych dłoni. Nadwrażliwość słuchowa, myślę, częsta u dzieci z niedorozwojem. Za dużo tych defektów, jak na jednego ładnego nastolatka. Co da mu pobyt na turnusie, czy odpoczną jego opiekunowie niewątpliwie utrudzeni całoroczną opieką.

Po obiedzie wracamy do pokoju, zastanawiając się, co robić. Jola deklaruje spacer z kijkami, ja odsypianie nocy w pociągu. Gdy budzę się po solidnej drzemce, widzę moją współmieszkanekę w łóżku z ręką zarzuconą na oczy. Mówiłaś przez sen, zwraca się do mnie. Głośno i wyraźnie. No cóż, przywiozłyśmy, chcąc nie chcąc, problemy. Te zawsze się przylepią, wszędzie za nami dotrą.

I tak wracamy do rozmów o tym, co się wlecze. Wreszcie ona wychodzi z kijkami. Zostaję. Już wiem, że każda z nas może chodzić własnymi drogami. Nie ma obaw o utratę wolności, jakiej potrzebuje człowiek skazany na obce, przypadkowe towarzystwo. No i nie potrzebujemy telewizora. Ale brakuje radia.

W czasie kolacji kierownik zaprasza na badanie lekarskie niezbędne do zlecenia zabiegów, wszak to turnus rehabilitacyjny. Od jutra zabiegi. Ile tego będzie? Niewiele. Podzielałam zdanie opiekunów osób niepełnosprawnych, protestujących pod sejmem, że turnusy rehabilitacyjne to namiastka pomocy. Nie ma dobrej rehabilitacji. Nie ma kursów dla opiekunów, jak usamodzielniać niepełnosprawnych podopiecznych, którzy dorastają i wkrótce mogą zostać dorosłymi dziećmi, bezradnymi, często z powodu nadopiekuńczości, sierotami.

Przed snem znów rozmawiamy, głównie Jola.

Byłam zamknięta. Teraz wykraczam poza świat, który znałam z jednej, złej strony. Nie udało mi się sięgnąć tam, gdzie w młodości zamierałam. Ale to, co dla mnie okazało się nieosiągalne, staje się osiągalne dla moich dzieci. Dla mnie nadszedł czas wychodzenia ze skorupy zwaną przeszłością. Podejmowanie ryzyka jest przerażające, ale nie aż tak, jak stanie bez ruchu. Co mi pomagało? Długo nic. A potem nawet bajki czytane dzieciom, bo obroniłam taką chwilę z książką. Tym baśniowym złotem było dokopanie się do szacunku dla samej siebie. Bo już nie mogłam znieść myśli, że za chwilę dorwie mnie ten mój, przykryje mi głowę poduszką.....

Powtarza się, myślę w duchu, ale nie przerywam, skoro potrzebuje o tym mówić.

I znów coś mówiło mi: Nie czekaj. Ten dzień jest dzisiaj. A dzisiaj to już wczoraj. Odejdź. Jeśli tego nie zrobisz, doprowadzisz się do samozniszczenia. To był alarm, ból, na który musiałam zareagować. I pode-rwałam się.

Choć żyłam we wspólnocie, w rodzinie, nie miałam komu się zwierzać. Woda w studni pochłonęła niejedną moją tajemnicę. Raz chciałam się napić mleka, a mleko było wydzielane tylko dla dzieci. Dla mnie już nie, bo synowa to nie rodzina. A ja przecież cały czas byłam albo w ciąży albo karmiłam. Więc pod osłoną nocy zabrałam się do wyciągania bańki z mlekiem dla schłodzenia zatopionej w studni. Wyciągnęłam, ale bańka wyleciała mi z rąk. Stałam tak przed tą studnią i myślałam, niech skończy się moja niedola. Kusił mnie chłód i spokój wody, która - zamącona mlekiem i dźwiękiem pustej banki - tylko przez moment zamąciła spokojne lustro. Wydawała mi się jej przestrzeń jako przestrzeń ładu i spokoju. Lecz w pewnym momencie jakbym się ocknęła, jakbym usłyszała z głębi zgrzyt, który zburzył mój spokój i pragnienie, by zanurzyć się w zimną toń. Odzyskałam władzę nad sobą. Pomyślałam o dzieciach, tam w izbie. I o tym, które nosiłam. Wszystkie ze zniewolenia, ale moje. Tylko ja je kochałam. Kto je nauczy postępować, by pokochali je inni. Przecież nie ojciec. I co by stało się z wodą? Woda w studni to świętość. Topielec na zawsze pozbawia wodę ożywczej mocy. Takiej wody nie napije się bydło! Nie, nie mogę tego zrobić.

Zmagałam się ze sobą. Ale odeszłam. Wróciłam do izby.

Dzieci nie wiedzą wszystkiego. Nie chciałam zabić w nich marzeń i wiary w dobro. Wiem, że stopniowo odzyskuję siebie. Potrzebuję na to czasu.

W dobrym momencie dojrzałam do tego, że muszę je wychowywać sama. Nie chciałam żyć w strachu o swoje i ich życie. Powiedziałam sobie: Nie mogą widzieć mnie znów poturbowaną, bo o koszmarze życia intymnego nie wiedzą do dziś. Niech to będzie moją tajemnicą.

Tak skumulowały się moje siły, że - będąc w ciąży z czwartym - poszłam z trójką maleństw pod dach u obcych ludzi. Podołałam jako matka i byłam też częścią ojca.

Wtedy wieś wyglądała inaczej niż dziś. Była praca także dla kobiet. Dziś na polu pracują maszyny. Żniwa trwają kilka dni, wykopki też krótko. Chyba byłoby mi trudniej, zastanawia się.

Umiałam szyc. Nauczyłam się od matki. Nie gardziłam żadną pracą. Było ciężko - wzdycha. Nie miałam w czym chodzić, bo mąż zatrzymał wszystkie ubrania. Gdy już była późna jesień, w sandałach na nogach odważyłam się wejść do sklepu w miasteczku i poprosić o buty na kredyt. Jak zarobię, przyjdę zapłacić. Może ktoś przyniesie szycie, może... Dług zwróciłam ku zdziwieniu sprzedawcy, który myślał, że umarłam. To możesz sobie wyobrazić, jak ja wtedy musiałam wyglądać.

Patrzyłam na życie teścia, człowieka po przeżyciach na robotach w Niemczech. Stłumionego, jakby zdeptanego, bez prawa głosu w rodzinie. To było bolesne, może jeszcze gorsze niż bicie. To przemoc chłodna. Teraz to wiem. Jeszcze trudniejsza do udowodnienia. Wstydliva dla poniżanego.

Po przeprowadzce miałam sąsiadkę, której dzieci poszły do miasta, a ona stareńka, jak ta nasza chata przedzielona sienią, została. I cieszyła się, że ma mnie obok. Ludzie mówili jej to i owo, a ona na to: *godojcie, godojcie, ja wiem swoje*. I na dzieci mówiła aniołki. *Moje aniołki przysły* - witała, gdy wracały ze szkoły czy kościoła. *Płojcie, łogrzejcie się*, zapraszała do swojej cieplejszej od mojej kuchni z piecem i łóżkiem z wysoko ułożonymi poduchami. I na pocieszenie znalazła a to dropsa, a to jakieś jabłko lub orzecha. I było nam dobrze, jak nigdy. Świat jej kuchni to był świat przywróconego ładu.

Jednak wciąż miałam koszmarne sny. Były mąż kręcił się w pobliżu. Dlatego wyprowadziłam się dalej, do miasta, gdzie szkoły. *Uczcie się aniołki*, zachęcała przyszywana babcia. Ja bez was niedługo umrę, ale idź z nimi do miasta, idź. *Musicie się kształcić, aniołki*. Nasza obca, ale bliska babcia wkrótce odeszła na zawsze.

Nie chciałaś ułożyć sobie życia na nowo, wyjść za mąż, pytam. Ależ skąd, nigdy w życiu. Mój psycholog to wie, odpowiada. Nawet teraz nie lubię stać blisko mężczyzny. Na weselu córki w tańcu mógł dotknąć mnie tylko mój syn! Nie potrafię tańczyć w parze z innym mężczyzną.

Nazajutrz wybieramy się, acz niechętnie, na tę imprezową kolację. Innej nie ma. Jola się szykuje, ale trwa to zbyt długo, więc wychodzę wcześniej. Sala udekorowana jak na wesele. Stoliki w podkowę. Integracja!!! Słychać pomruk zadowolenia turnusowiczów. Znow kolejny raz powitanie. Muzyka zaczyna grać. Niewidomy chłopiec kuli się, porażony zbyt głośnymi dźwiękami. Wchodzi spóźniona Jola. Siada z dala ode mnie, blisko tych z wnukiem. Mnie się trafiło miejsce naprzeciw pań z koła emeryckiego i legionu Maryi, jak się okaże. Średnia wieku pomiędzy siedemdziesiąt pięć a osiemdziesiąt z nawiązką. Wszyscy pałaszują to co na stole, radzi kolejnym półmiskom podawanym w trakcie imprezy. Po bigosach, gulaszach, zapiekankach sala rusza w kierunku bufetu, gdzie leje się piwo. Rusza i legion Maryi, raz i drugi, i wraca żwawo z triumfalnym uśmiechem oraz złocistą pianą w dobrze napełnionym kuflu. Ruszam i ja, zachęcając Jolę: Chodź, piwo ma właściwości lecznicze, jak raphacholin, ułatwia trawienie, oczyszcza organizm. Jola dziękuje, jakby przestraszona koniecznością przeciskania się w tłumie. Przynieść ci, pytam. Nie daje się namówić. W pokoju wyjaśnia przyczynę. Jeśli alkohol oczyszcza, to mój ojciec zapewnił to oczyszczenie nie tylko mnie, ale chyba całym pokoleniom następców. Więc ja już nie muszę stosować tej metody. I na szczęście nie stosują też tego leczenia moje dzieci. To ci się udało. Powinnaś być zadowolona, stwierdzam.

Nie wiem, czy byłyby takie, gdybym nie odeszła w porę - wraca do swego życia. W dobrym momencie dojrzałam do tego, że muszę moje dzieci wychowywać sama, jeśli nie chcę być bita, nie chcę, by dzieci widziały mnie poturbowaną, bo o tym, co przeżywałam w łóżku, do końca nie wiedzą do dziś. Wiedziałam, że gdy odejdę, muszę podołać jako matka i być też częścią ojca. Tak skumulowały się moje siły, o jakie siebie nie podejrzywałam.

Przeprowadziłam sprawę w sądzie. Mąż nie miał prawa zbliżyć się do mnie i dzieci, więc czułam się bezpieczniej. Bezpieczna? Tak jakby! Bo gdy zabrałam dzieci, powiedział, że nie da na nie grosza. I słowa dotrzymał. Jak sobie radziłam? Już mówiłam, dzięki maszynie do szycia. Robiłam przeróbki. Ale wciąż było ciężko, bo ostatnią ciążę źle znosiłam. I nie miałam nic, bo przy wyprowadzce mąż zatrzymał wszystko. Nawet prawo jazdy.

Ale los wynagrodził mnie babcią. Taką babuleńką jak z baśni. Ludzie mówili jej to i owo o mnie, a ona na to: *godojcie, godojcie, jo wiom swoje*. I to ona do moich dzieci mówiła aniołki. *Moje aniołki przysły*, powitała je, gdy wprowadzałam się do wielkiej kuchni z piecem i nieogrzewanej izby. Będąc na podtrzymaniu w szpitalu spisywałam moje doświadczenia z kilkuletniego życia małżeńskiego. Miałam te zeszyty ukryte w izbie u tej babci. Teraz mam głęboko schowane u siebie. Boże, by córka, remontując mieszkanie, nie znalazła. Łapie się za głowę. Niech wie tylko tyle, ile sama zapamiętała. To i tak za dużo.

Sen mara, Bóg wiara, mawiają, ale niezupełnie prawda. Dopiero po powrocie ze szpitala dowiedziałam się, że po pralce i kuchence zostały mi tylko raty!!! Policja podejrzewała o kradzież byłego. Człowiek o zaburzonej osobowości - miał to już w papierach, czuł się bezkarny. Macie chujowe prawo. I tak mnie zaraz puścicie - wykrzykiwał milicjantom, gdy przyjechali na interwencję. Wróć i puszczę kura, odgrażał się.

Nie wiem, czemu babcia się nie bała. Ani grózb, ani spotkania z nim. Ani ludzi, których gorszyło, że trzyma z rozwódką. Ja nic nie rozwałam, oburzała się, przywracam porządek. Może to siła wynikająca z wieku, bo starowinka zmierzała ku kresowi swych dni, zachowując zadziwiającą jasność myśli oraz trzeźwą zdolność oceny ludzi i zdarzeń.

I znów po powrocie ze szpitala musiałam zaczynać od początku. Ale podołałam.

Pewnie dlatego teraz potrafię obejść się bez wielu rzeczy, ale nie potrafię odmówić sobie kupienia kolejnej pary butów. Moje dzieci nie rozumieją

tego. Niedawno odkryły, że mam w pawlaczu kilkanaście par, których nigdy nie nosiłam. Zaczęły ze mną o tym rozmawiać. Czy to wtedy powiedziały mi, że zrekompensowałam im tę brakującą opiekę ojcowską?

Nasza bieda była znośniejsza niż życie z ojcem pod dachem teściów.

Mogły spać całą noc. Nikt nie gasił i nie zapalał światła, nie przyświecał lampą prosto w oczy. Starsze długo miewały sny – koszmary, jak dziadkiem, który przyszedł nas bronić, ojciec tłukł o ścianę, o kaflowy piec, potem znów o ścianę, aż obrazy pospadały na podłogę. Nieraz przez sen krzyczały; nie, nie!!!

Przez czas małżeństwa chodziłam skulona, wiecznie spięta, przygarbiona, bo może znów koszule powieszzone nie tak, jak wieszala jego matka i będzie bił. Dziecko zapłacze, też będzie bił! Wydawało mi się, że ręce sięgają mi do ziemi!

Bachory - mówiła do wnuków jego matka. Aniołki, wy moje aniołki, mówiła obca kobieta, nazywana babcią. Nie pożyję długo bez was, ale musisz iść z nimi tam, gdzie szkoły! Niech wyrosną na mądrych ludzi. Masz dobre dzieci. Nie wdały się w Urywała, by nie wymawiać przezwiska, bo złe można ściągnąć nawet nieodpowiednim słowem.

W tej starej chacie przedzielonej na pół sienią następowało powolne przywracanie ładu świata. Ładu zakłóconego niepotrzebnym małżeństwem. Rozwód religijna babcia uznała za powrót do porządku, mimo że inni oceniali to inaczej. Nie zaglądał w cudze sumienie. Zajrzyj w swoje, może i tobie przydałoby się rozgrzeszenie. Spowiedniki. Cudze grzechy wytykają, by swoje zepchnąć do kąta, gderała, stojąc przy kuchennym piecu, na którym gotowała zwykle za duży dla niej garnek zupy. *Tak mi się nalotał włody, że nie zjom oni za tydzień. Chłódzcie se pochlipać* i stawiała miseczkę jarzynowej lub ziemniaczanej na ławie, by każde z dzieci, także to najmniejsze, sięgnęło. *Z jedne jydzie, z jedne. Równu. Będziecie umiały się dzielić. Razom do robłoty, razom do jedzonio. Przypotrzcie się, jak jedzą kłotki, łone się ta zgodzają.* Takie było jej proste wychowanie.

Teraz, kiedy dzieci stopniowo układają sobie życie, mam do swej przeszłości coraz większy dystans. Byłam uległą córką, dlatego wyszłam za męża, gdy matka kazała: Dziecko musi mieć ojca, słyszałam najpierw. Potem; ślubowałam w kościele, musisz z nim żyć. Czułam się winna, mimo że to ja miałam prawo do oskarżania. Czy tak niedowartościowana czuła się przy ojcu moja matka, a ja tylko powieliłam model jej życia? Zaczęłabym studia, gdyby nie ciąża.

Studia! Zmieniamy temat na bieżący. Rozmawiamy o wykształceniu dzieci i szansach na życiową stabilizację. Teraz młodzi muszą szukać chleba w globalnej wiosce. I znów mówimy o lękach, by zło tego świata, na które nie mamy żadnego wpływu, nie uderzyło znienacka.

A mąż? Co teraz robi? Wiesz - pytam.

No cóż. Jak wielu takich jak on, zbiera złom. Mówi się o nich ekologiczni. Wozi do skupu starym dziecięcym wózek. Może tym, którego nie pozwolił zabrać, gdy się wyprowadzałam. Tworzy o sobie mity. By wypaść w nich pięknie, uśmiercił mnie w swych opowieściach.

Mam rentę, nie musiałbym zbierać, opowiada. Ale zbieram, bo chcę pomóc dzieciom! Żona mi umarła, zostałam z czwórką dzieci. Teraz córka wychodzi za mąż, chcę jej pomóc. Dzieci mam wykształcone....

Jak kiedyś kłamał, tak kłamie i teraz. Wyparł ze swej psychiki swe niegodziwości. Czy zatarł w pamięci, że zmarnował dorobek swej rodziny? Gdzie te hektary najważniejsze dla teściowej? Popłynęły wraz z wodą. Dzięki konfabulacji dostał od dozorczyń uniwersalny klucz do zamkniętych śmietników, które odwiedza o różnej porze dnia i nocy, a rano swoją zdobycz wiezie, by sprzedać. Potem zamienia te grosze na piwo, a może napój winopodobny, bo tańszy a dłużej szumi w głowie. Widać potrzebuje dobrego wizerunku w oczach innych, dlatego tworzy mity, w które nie wierzy chyba nikt. Może tylko on, myśląc, że błąga po wielokroć powtarzana staje się prawdą.

PS. Niedawno Jola napisała w e-mailu: Brakuje mi krajobrazu Jastrzębiej i rozmów. Ale wciąż jest ze mną stara, dobra (nie dobra) znajoma: bieda. Ta nadal trzyma się blisko, ale nie jestem i nie będę już tą skuloną i pochlipującą Jolką, jaką byłam przed dwudziestu laty. Wciąż się uczę czegoś nowego. Teraz pomagania ofiarom przemocy.



XXIII Konkurs literacki

Krajobrazy Słowa

Hanna Dikta

godło „zwrotnik koziorożca”

Wyróżnienie w dziedzinie prozy

Hanna Dikta

Poetka i prozaiczka. Laureatka wielu konkursów literackich. Swoje teksty – wiersze i opowiadania - publikuje w prasie lokalnej i ogólnopolskiej. Autorka tomiku poetyckiego „Stop-klatka” i kilkunastu opowiadań. Wkrótce nakładem wydawnictwa Zysk i S-ka ukaże się jej pierwsza powieść pt. „We troje”. Mieszka z mężem i trójką dzieci w Piekarach Śląskich, gdzie pracuje jako nauczycielka języka polskiego i historii.

Jeszcze jak

Za krótko się, Mamo, znałyśmy.

Anna Augustyniak

– Nie masz się z czego śmiać, mama nie żyje – powiedział Tomek, kiedy rozbawiona wsiadłam do samochodu. Obok mnie Asia i Sonia, które zawsze podwoziliśmy na dworzec.

Wiedziałam, że powinnam się rozplakać, ale nie umiałam. Wpatrywałam się tylko bezmyślnym wzrokiem w dyndającą pod lusterkiem wanielową choinkę.

*

Leżałaś w domu, tata nie chciał oddać Cię do kaplicy. Zakręcił kaloryfery w sieni, zamknął drzwi dzielące ją od reszty mieszkania, włożył pod trumnę siekierę i miskę z wodą. Mimo to i tak cały dom nasiąkał powoli zapachem żelaza i gnijących kwiatów.

– Już śmierdzi – powiedział ktoś, otwierając drzwi.

Tomek pojechał po cytrynowy odświeżacz w sprayu, którym spryskałyśmy firany.

Minęło dwadzieścia lat, a mnie zapach cytryny wciąż kojarzy się z trupem.

*

Mama umarła. Boli – napisałam w pamiętniku.

Nieprawda. Wcale nie bolało. Nadał słuchałam *Gangsta's Paradise*, umawiałam się na randki, ekscytowałam pierwszymi pocałunkami. Napisałam to zdanie, bo wypadło. Zabawne, przecież nikt nie czytał tych zapisków. Przed kim starałam się dobrze wypaść? Przed samą sobą, tą dorosłą, starą?

Nie udało się. Z moich notatek nie pamiętam niczego poza tym jednym – że zdanie o bólu jest kłamstwem.

*

Po dwudziestu latach wciąż nie potrafi przejść mi przez gardło prośba: Opowiedz mi o mamie, tato.

*

Tata dzielił się żałobą ze wszystkimi: z sąsiadami, dalszą rodziną, nawet z klientami swojego sklepiu. Tylko ze mną w ogóle o Tobie nie rozmawiał.

*

Moje dzieci znają Cię wyłącznie z marmurowej fotografii. Nie mają pojęcia, jaki miałaś głos, jak się uśmiechałaś, jak czerwieniły Ci się policzki w rzadkich chwilach zdenerwowania. Wiedzą tylko, że byłaś spokojniejsza ode mnie, bardziej cierpliwa, że pięknie opowiadałaś bajki. Wiedzą, że zachorowałaś na guza mózgu.

– Ty nie umrzesz na raka jak babcia? – pytają.

*

Koleżanka z pracy, żona adwokata, załatwiła Ci tomografię na cito. Wieczorem siedziałyśmy na kanapie w dużym pokoju, pamiętam dokładnie, Ty po prawej stronie, ja po lewej. Przed nami pomarańczowa meblotłścianka na wysoki połysk wypełniona po brzegi kryształami.

– Boję się – powiedziałaś.

– No coś ty, mamuś – zachnęłam się.

Szukałaś pocieszenia, a ja potrafiłam dać Ci tylko swoją siedemnastolatnią beztroskę.

Nastolatki nie wierzą w śmierć, Mamo. Przepraszam, że nie byłam wyjątkiem.

*

W szufladzie komody, wciśnięty między lokówkę i wstążki, długo leżał Twój obcięty w młodości warkocz. Pasma włosów zawinięte w szary papier.

*

Lubiłam odrywać płaty spieczonej skóry z przypalonej kobaltem głowy. Leżałaś wtedy na moich kolanach – jak dziecko.

*

– Tylko z wami wszystkimi – mówił tata, kiedy życzyliśmy mu „stu lat”. Taki rytuał, zaklinanie rzeczywistości.

– Moja pani – zawodził, kiedy umierałaś.

*

– To ja, wasze Cocollino – witałaś się z nami zdaniem z reklamy.

Odrywałaś mnie szpitalnymi telefonami od nauki, od czytania.

Jak mogłam normalnie żyć, wiedząc, że umierasz? Koncerty, spotkania z przyjaciółkami, randki. Świat się pali, a wariatka tańczy.

*

Wcale nie jestem teraz bardziej empatyczna. Przeciwnie. Na każdy problem mam jedną odpowiedź:

– Kiedy umarła moja mama, miałam dziewiętnaście lat. *Co ty wiesz o zabijaniu?*

Nie mówię tego, ale tak myślę. Z trudem udaje mi się ukrywać pogardę.

*

Kiedy dostałaś padaczki, tata myślał, że umierasz. Klęczał przy Twoim łóżku, przed obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej i krzyczał:

– Nie zabieraj mi jej! Nie zabieraj!

Tak krzyczał mój niewierzący tata.

*

Nie miałaś apetytu, więc karmiliśmy Cię zupkami dla niemowląt. Pomarańczowymi pulpami bez smaku. Wypluwałaś dokładnie taką ilość, jaką udało mi się włożyć Ci do ust.

– Mamo, po moim ślubie nie chcę iść na cmentarz – powiedziałam, żeby zmusić Cię do jedzenia.

Wtedy pierwszy i ostatni raz widziałam, jak płaczesz.

*

U fotografa długo czyściłam zabrudzony cmentarną gliną brzeg białej sukienki.

*

Nie nauczyłaś mnie, jak być kobietą, Mamo. Nie zostawiłaś żadnej wskazówki, żadnego przepisu. Tylko ten na pomidorówkę na maśle, którą w termosie codziennie woziłam Ci do szpitala.

*

W niedzielę jeździliśmy na obiady do restauracji. W dresie i wyliniałej peruce posuwałaś się wolnym krokiem między krzesłkami. Wstydyłam się Twojego wyglądu, Mamo. Wstydyłam się Twojego umierania.

*

Pamiętam Cię tylko w tych dwóch ubraniach: jasnozielonym szlafroku, w którym zawsze witałaś mnie w progu szpitala i w dresie. Szarej bluzy z białym napisem: *Play off*. Nadal trzymam ją w szafie. Zakładam, kiedy mi zimno.

*

Wciąż mam dziewiętnaście lat. Chodzę do liceum, zakuwam do sprawdzianów, pochłaniam tysiące książek. Ty nie przekroczyłaś pięćdziesiątki. Zostałyśmy zahibernowane w swoich rolach sprzed lat, uwięzione. Jak muszki w tężejącej żywicy.

*

Nie podałam Ci herbaty, Mamo. Zmęczona atakiem padaczki leżałaś w sypialni, a ja już w sieni zakładałam w pośpiechu sandały.

– Zrób mamie herbatę! – zawołał tata z góry.

– Spieszę się! – odkrzyknęłam i już mnie nie było.

*

Leżałam na podtrzymaniu z pierwszą ciążą. Niedzielne popołudnie, sala pełna starzejących się kobiet, podtykających ciężarnym córkom termosy z rosółkami. Wtedy pierwszy raz poczułam się sierotą, Mamo. Odłożyłam książkę i ukryłam twarz w poduszce, żeby nikt nie widział, jak płaczę.

*

Po Twojej śmierci zaczęłam być zła na stare kobiety. Że nadal żyją.

*

Moje córki jeżdżą po sieni na rolkach. Śmieją się, krzyczą. Między nimi synek na plastikowym rowerku. Dwadzieścia lat temu w tym miejscu leżała Twoja trumna, Mamo.

*

Kuzynka przytulała Cię, całowała.

– Ciociusiu moja, ciociusiu! – zawodziła.

A ja stałam wciśnięta w róg pokoju i modliłam się, żeby nikt nie kazał mi dotknąć Twojej zimnej ręki.

*

Po Twojej śmierci tata czytał *Życie po życiu*.

– To ma sens – powtarzał. – To ma sens.

*

Zakręcanie śrub, trzykrotne uderzenie trumną o próg domu. Twarz ciekawskiej sąsiadki wyglądającej zza krzaków.

*

Siedzę przy biurku, a Ty obok pedałujesz na stacjonarnym rowerze.

– Wspaniale mi idzie, prawda? – Uśmiechasz się, potrząsając łysą głową.

*

Pochowali Cię w moich butach. W czarnych atłasowych szpilkach, w których kilka miesięcy wcześniej tańczyłam na studniówce. Do dziś nie potrafię zrozumieć, w jaki sposób sąsiadkom udało się wcisnąć Twoje stopy do pantofli o dwa numery za małych.

Wyższa też byłaś, niemal o głowę. Nigdy Cię nie przerosłam.

*

Miała twarz jakby przysypaną popiołem – mówił tata – od razu wiedziałem, że umarła.

*

Jaką część mnie pochowali razem z butami, Mamo?

*

– Ten wysoki w czarnej kurtce to mój chłopak – powiedziałam z dumą do kuzynki, przechodząc po Twoim pogrzebie przez cmentarną bramę.

*

Podobno najważniejszą rzeczą, jakiej matka może nauczyć córkę, jest umiejętność cieszenia się życiem. Odrobiłaś tę lekcję na szóstkę, moja uśmiechnięta, łysa Mamo.

*

– Cicho już! – strofowałam wyjącego nad grobem tatę.

*

Lubiłam słuchać, jak opowiadasz o dzieciństwie. O tym, jak jeden jedyny raz w życiu dostałaś od mamy lanie, kiedy nauczyciel za karę zatrzymał Cię w „kozie”. O tym jak z ciocią Lucią ustawiłyście na parapecie puste pudełka po zapalniczkach, a jakiś mężczyzna myślał, że to sklep i miał pretensje, że nie chcecie mu niczego sprzedać. W końcu o tych nocach, kiedy zostawałaś w domu sama, bo tata już nie żył, a mama chodziła do miasta sprzedawać mięso. Byłaś dzielną dziewczynką, Mamo. Do samego końca.

*

Śniłaś mi się często. Najczęściej w trumnie albo w szpitalu. W moich snach albo Cię nie odwiedzałam, albo nie chciałam pochować. A przecież przyjeżdżałam do szpitala codziennie. Chodziłyśmy do stołówki na obiad albo do kawiarenki na poddaszu na sok i ciastko. Czasem, kiedy źle się czułaś, zostawałyśmy na sali. Skąd te sny, Mamo? Z powodu tamtej herbaty?

*

– Była pani dzieckiem – słyszę. – I czuła pani złość za tę odwróconą rolę. To ona miała być matką, a pani córką, nie odwrotnie.

– Złościłam się na mamę? – dziwię się.

– Oczywiście. Że umiera.

*

Pełgające między konarami drzew światelko naszego letniego domku. Czekalaś tam na nas, kiedy po dniu pełnym wrażeń wracaliśmy na kolację. Nieprzerwanie od lat szukam tego okna, Mamo.

*

Nusiunia. Mówiłaś na mnie: Nusiunia. Jak to dziś obco brzmi.

*

Czy to nie dziwne, że po pierwszej nocy z małą córeczką, przestałam śnić koszmary o Tobie? Jakbym Ciebie nią zastąpiła. Piłka znowu wróciła do gry.

*

Najszczęśliwsze wspomnienie tamtych osiemnastu miesięcy? Wsparta na ramieniu taty wspinasz się po schodach prowadzących na strych, a my – Twoje dzieci bijemy Ci brawo.

*

Miałam siedem lat, kiedy zaczęłam się bać Twoich wyjść. Męczyło mnie przecucie, że nie wrócisz.

*

– Chciałabym, żeby to się wreszcie skończyło – powiedziałam.

Naprawdę to powiedziałam.

*

Czy gen choroby dziedziczy się razem z pięknym uśmiechem, Mamo?

*

– Kochasz mnie? – spytałam cicho. Leżałyśmy na tapczanie. Całowałam Cię i przytulałam. To była nasza ostatnia rozmowa, już się prawie nie budziłaś.

– Jeszcze jak – odpowiedziałaś.



XXIII Konkurs literacki

Krajobrazy Słowa

Marzena Jaworska

godło „Kaszkiel”

I nagroda w dziedzinie poezji

Marzena Jaworska

Urodzona w Białymstoku, aktualnie mieszkanka prawobrzeżnej Warszawy. Publikowała w „Przeglądzie Artystyczno-Literackim”, „Studium”, „Fa-arcie”, „Lampie i Iskrze Bożej”, „Ricie Bum”, „Autografie” i innych. Wyróżniana i nagradzana w licznych konkursach literackich. Dużo czyta, mało pisze. Od dwudziestu lat zbiera wiersze na tomik poetycki.

hymen

przebić się na drugą stronę ciebie
jest znacznie trudniej
niż przejść przez weneckie lustro
mam przed sobą taflę jeziora
którego brzegi porastają twoje rzęsy
powiedz, co widzisz na dnie oka?
papier-nożyce-kamień
za jakiś czas staniesz się moja lilią
będę podrywał cię z korzeniami
unosił ku nieboskłonom przesadzał
z wdziękiem w inne lepsze miejsca
stworzone do celów takich jak ten
w mieście które odwiedzam każdej nocy
na końcu drogi stoi bar
więc zanim dopowiem resztę
wstąpimy tam na rosół z młodej kury
podobno skutecznie leczy przeziębienie
rozwiązuje splątany język

krótki wiersz o samotności

przechodząc przez drzwi wspólnego mieszkania
swój zapach pozostawiasz na zewnątrz
jeszcze o tym nie wiem więc w myślach
oprawiam cię we framugę i wieszam
na ścianie tuż nad kominkiem
to taki żart mówisz tak żart taki odpowiadam
nie mamy kominka ani ściany
rozbiliśmy ją bo nie była nośna
za to możemy teraz bez przeszkód rozlewać się
każde we własnej czasoprzestrzeni
albo oddychać razem głęboko
pustym powietrzem

balety

w byciu czarnym łabędziem
przeszkadza jej brak piór i wiary w siebie
nie ma ikry za to grube uda i krótką szyję
zupełnie jak nie ptak o którym dziś mowa
oto nielot tkwi pod sceną
chowa głowę w muzykę i piasek
wchodzi w różne stany skupienia
po nieskończonej liczbie lekcji tańca
i tylu samo nieprzespanych nocach
staje przede wyborem upuszczenia
gotującej się w żyłach krwi
lub gaszenia jej zimną kranówką
uparcie trzyma się diagnozy że
etiologia jej zawrotów głowy tkwi
w prawidłowo wykonanym *chaines*

furia

złości mnie ten równo przycięty trawnik
do którego dane mi sięgać jedynie wzrokiem
prosto ze schodów nurkuję w kamienie
wypaliliśmy je bo miało być jak w Chorwacji
na oczko wodne nie starczyło miejsca
więc zadowolenie przynosi nam rynna
udająca górski potok którego źródło
bije na naszym dachu
oprawiona w okienną ramę wypatruję
przyszłych zdarzeń ale nie ma nic
oprócz nadchodzącego ciepłego wieczoru
na parapecie obok trzy smutne erynie
ołowianych żołnierzy już dawno wysłałam na wojnę

nocny

ze szczenięcych lat zachował buteleczkę
z krótką szyjką i długim terminem
przydatności do spożycia
do dziś dnia nosi ją w kieszeni
zamkniętej przed ciekawskim okiem
schowaną w oszklonej dłoni
bywają dni gdy traci kontakt na dłużej
zmuszony kasować bilet albo
witać znajomych naznaczonych
grymasem dnia poprzedniego
w przegubowcu kluczącym po pętli
daje ludziom czas na prowadzone
mimoходом obserwacje nieudolne próby
robienia zakładów stawiania hipotez
na końcowym w drzwiach przy kierowcy
potyka się o spojrzenia współpasażerów
na szczęście nikt nie widzi jak
z kieszeni kurtki wypada mu diament
idealny do cięcia szklanych gardeł



XXXIII Konkurs literacki

Krajobrazy Słowa

Ida Sieciechowicz

godło „Ski Ba Bop”

II nagroda w dziedzinie poezji

Ida Sieciechowicz

Wykładowca, tłumaczka, konsultantka języka angielskiego w Komisji Nadzoru Finansowego na Giełdzie Papierów Wartościowych. Ukończyła filologię angielską na Uniwersytecie Wrocławskim i psycholingwistykę na Uniwersytecie Londyńskim. Debiutowała w konkursie poetyckim organizowanym przez Gazetę Białostocką. Laureatka wielu konkursów, m.in. „O Wawrzyn Sądecki”, „O złotą Wieżę Piastowską”, Międzynarodowego Konkursu Poetyckiego w Białaczowie, „O Laur czyli Złoty Syfon Stowarzyszenia Żywych Poetów”. Wyróżniona w XX i XXII edycji Krajobrazów Słowa.

„Nigdy realne, lecz zawsze prawdziwe”

Antonin Artaud

W fabrykach rozpalanych mechanicznie

I

A już jeśli. Łuk koła. Przekroje. Parabole. Duże ptaki krążą pojedynczo lub stadami. Łańcuch moren ciągnie. Niby co. Niemniej swobodnie. Stare kobiety usypiają. Z ułożonymi nogami. Tak wysoko. Co trzeba? Żeby było. A było jak? Czy piaskowe ławice pozostają takie (i) same? Po deszczu. Gdzie się kryje tajny krąg? Coś tam wtedy wiozą w ostudzonych mroźniach. Sypki groch? Proch? Och! Kto się ludzi rozsypałym gipsem, to gips z tego. Biel się bieli, gdy się uduchawia. Czy bóg głaszcze po głowie, gdy wszystko jest składnie? Ależ skąd są infekcje? Zazwyczaj wirusowe. Na między (i) narodowych lotniskach. Obraz jest sprawdzany. Ciężar jest rozważany.

22/3/2015

W fabrykach rozpalanych mechanicznie

II

Wciąż ciężko. Prowadnica prowadzi w zwykłe zawężony dół. W najważniejszym momencie. Ci, co stoją, zakrywają twarze. A robią to grubo oblepionymi palcami. Nie brakuje tego. Ale czego? Bo. Sznur trzyma wiele skrętów. Pod pętlową pokrywą. Jacyś nie stąd. Śrubują skrzynie. Anonimowo zwisa nieruchomy spot. Na rancie. Bez światła. Biurowce wcale się nie smuć. Wznoszą się na rynku. Nad sklepiony strop. Pada w ciemno mało obliczalny kąt. Nie darmo. Poezja jest terapią. Czy tak silną jak chemia? Bo w nas. Trybuje tubalnie obniżony bas. Bassetto ma spięte biodra i smagły głos. Pędem pociąga przeciążony pas. Więc ziemia kołuje. Gdy kula goes round and round?

11/5/2015

W fabrykach rozpalanych mechanicznie

III

Czy już bardzo? Albo niezupełnie. Miejsca zajmują punkty.
Stanowczo ochronne. Całe. Między nami. Drapią w ścianę.
Może to być na okrągło. Pod zegarem z równie nieugiętą
twarzą. Co? Słyszałaś o zamkniętych bramach? Pod klucz. Na
głucho. W pół szpary. Trochę więc prześwieca. Czy trzeba się
martwić? Czy najgorsze przychodzi od zaraz? Chciałbym
wkładać stopy w chłodny spokój uszlachetnionych kamieni.
Wierzyć z góry, gdy się spada. Czy ktoś z tego wyjdzie? Po
skopanych sannach. Nie udawaj, że nie wiesz. The new urban
question! Graffiti i grunge. Kto grodzi i jak? Czy możesz przejść
przez? Wyprzedzając lasy. By ci nie stanęły wspak. Gdy ktoś
strzeli pustką w niczym pełny trop. A czy będzie to tak?

W fabrykach rozpalanych mechanicznie

IV

O tej porze? To już szukaj. Po dyniowych polach. Pod palczastą kutykułą zaciśniętą w łykach. Lato gorączkuje. Czy dłużej niż krótko? W zdyszanych odstępach. Co chciałbym ominąć? Co mnie nie ominie? Pociąg do natury, gdy szumią bufory. *To and fro*. Na styku. Do dna. Dym się włości wokół oczu. Czy coś tracę mocno w sobie? Czy ktoś stoi nieruchomo? W zmierzchem zasłanych szybach. Pochylamy głowy nad szklivnym midraszem. Objawia światliście. Na dotknięcie palca. Szepczę, żebyś czuła jak płoną ikony. Czy to znaczy mało? Głos przepływa niczym narwał przez surowo wydłubany szkielet. Rani jednorożnie. Grzywacze wypadają z wyrośniętych koron. Jak splątanych nad? W nagarnym nalocie. Czy to znaczy wszystko? Ale wszystko? Co to znaczy wtedy?

23/7/2015

W fabrykach rozpalanych mechanicznie

V

Będzie. Pewnie skwarnie. Bo się zbliża. Chciałbym wiedzieć wreszcie co. Psom przetrą się krtanie. Czy przestaną czekać? Ochryple. Noc wpadnie w wąskie gardło. Krztusiec zagłuszy. Nawet gdyby. Z każdej kluzy coś wyjdzie. I wyrośnie. Naj! Ważniejsze. Aby nie przebywać w murach. All we are! Wpuszczani do środka. Przekornie na ciemno. Jakby za szkłem kontaktowym połączeni zbliżonym obrazem. Czy to aby nie? Nad ogólną żwirówką. Ozonowy zapach. Surowa cegła. Przyglądam się rozrzuconym gruzłom. Co ciąży w torbach do jednorazowego użytku? Dosłownie pod wieczór? Podwieczorkowe jabłka. Każdy ma swoje rozcięte na wargach. A więc. Gdzie wchodzi to, co się nie mieści? Czy musi? I jak? Być głęboki. Czy wyższy w tym sens?

30/3/2015



XXIII Konkurs literacki

Krajobrazy Słowa

Katarzyna Zychła

godło „tasiemka”

III nagroda w dziedzinie poezji

Katarzyna Zychła

Autorka książek dla dzieci, młodzieży i dorosłych – m.in. „Tajemnica Magdaleny”, „Drużyna Mistrza”, „Miłość Łucji”, „Z perspektywy żdźbła”. Laureatka wielu ogólnopolskich i międzynarodowych konkursów poetyckich, m.in. „Milowy Słup”, „O srebrną łuskę pstrąga”, „O konika morskiego”, „Sen o Karpatach”, „O złote pióro Papuszy”, „O liść chmielu” oraz XXII edycji Krajobrazów Słowa.

makramy losów

z krwi naszej powstały cztery ściany do remontu. cisza kątów
prostych. światło okien. sine mleko świtów. życie miało
nieśpiesznie zegary. pożerało od wewnątrz ciepło łóżek,
zapach kolejnych sezonów na uszczelnianie gniazda.

śmierć potknęła się o świeżo wyremontowany próg.
łza nie zdążyła skaleczyć policzka, gdy ktoś zakrył lustro.
ktoś wstrzymał wskazówki. nie rozmawialiśmy o tym wcześniej,
z góry zakładając ciągłość zdarzeń, spacerów, bliźniaczych snów.

z krwi naszej powstały cztery ściany, półki na książki, skarbonki
na drobne wzruszenia i tęsknoty. wciąż czekam, aż zadzwonisz
z podróży prosząc, bym włączyła czajnik, bo za chwilę napijemy się kawy,
opowiemy sobie jak źle być osobno.

bez retuszu

*Człowiek drugiego chce pętać człowieka
ponieważ obaj boją się rozłąki*
R. Orlewski

ta myśl pojawiła się nagle, gdy zatrzymała się przy koszach
z owocami. barwnie ubrane kobiety z ustami pełnymi
niczym mięsiste części pomarańczy trajkotały dźwięcznie
od czasu do czasu wybuchając śmiechem. zapachy
tysiąca przypraw z całego świata wykiłkowały przecuciem,

które miała na zawsze zostawić w obcojęzycznych pejzażach.
w twarde skorupy orzechów zaklinała nagły lęk, rozdając
dzieciom cukierki i drobne. przez chwilę będzie kobietą
przy koszu mandarynek. on tylko turystą. zrobi kilka zdjęć.
nie wymieni adresów,

ale to zdjęcie zdobędzie nagrodę w jakimś konkursie.
skórki pomarańczy kielkują niczym krokusy w kurzu
cynamonowej ziemi. tam, gdzie jest fotograf,
właśnie topnieją śniegi, tanieją tulipany.

kobieta z blizną na policzku nie chce pieniędzy za owoce.
błogosławi jasnowłosą obcą w swoim języku.
dziecko prowadzące osła otwiera buzię. połyka ostatnie
promienie słońca.

modlitwa o śnieg

miłość matek strzeże jak anioł, nawet we śnie, gdy życie
zbyt mocno przyprze do muru. z kokonu dorosłości trudno
wyjść choćby na chwilę, wspiąć się na palce, by spojrzeć raz
jeszcze na sady dzieciństwa, kamienne studnie.

więcej pustych krzeseł i zdjęć w cyfrowym zapisie,
których nie ma czasu przełożyć z dysku twardego w zwyczajne,
staromodne ramki. przecież nigdy nie zapomina się domu,
w którym czekała miłość, serce ufnie zrzucało troski.

coś wybija z rytmu. odwracasz twarz i widzisz na monitorze
wirtualne zimy. bardzo dobra rozdzielczość, fantastyczne kolory.
przywołujesz zapach świerku, siana. gdzieś narodziła się miłość.
szuka między pikselami. słowo pada między wirtualne ciernie.
nie staje się ciałem.

bez testamentu

to wszystko to tylko spam, kolekcja przykurzonych masek.
ważenie słów. bezpieczna wymiana poglądów.
każdy ma swoją muszlę twardą i nieprzystępną.
jeśli modlitwa to niekoniecznie o pochylanie się nad drugim.
coraz częściej rozczuła przywiązanie zwierząt.

lecz, cóż może wiersz?

jest tylko narzędziem wątlm lecz upartym zbiegiem
myśli i słów na jednej płaszczyźnie. pozwala nam być nagim,
kochać się w deszczu, pozwala na krzyk i bezwstyd pragnień.

to te ułamki chwil, w którym wracamy do raju,
szukamy owocu. zgadujemy siebie. odkrywamy soczysty miąższ
ciał. smaki rzek i strumieni. giętkość traw.

piszesz. znów piszesz jak kiedyś. w zdaniach pulsuje krew.
kobieta nad jeziorem liczy kamienie. czeka. twardnieją cienie liści.
ziemia wydaje na świat nowe dzieci.
niektóre umierają przed wschodem słońca.
inne chwytają język Boga.

wyjdę z ciebie. wyjdiesz ze mnie. zostanie wylinka.
garść prochu. deszcz.

pogorzelisko

kolejne kłamstwa krzyżują ogień
gaśnie
w portfelach zaskórniaki na małe przyjemności
coraz mniej mamy do powiedzenia
sobie
wypieranie przybiera na sile
puszczają tamy

trzaśnięcie drzwi
odbija się salwą niehonorową

w dziecięcym pokoju cisza
milczy pluszowy przyjaciel

niestety nie może zeznawać w tej sprawie
ani w żadnej innej
choćby darowano mu głos

na fotografii z wakacji ciemnieje słońce
sypią się fortece z piasku w pył

wojenny



XXIII Konkurs literacki

Krajobrazy Słowa

Urszula Kopeć-Zaborniak

godło „mechanik rzeczywistości”

Wyróżnienie w dziedzinie poezji

Urszula Kopeć-Zaborniak

Ukończyła filologię polską i studia podyplomowe bibliotekoznawstwa i informacji naukowej. Dyrektor Miejskiej Biblioteki Publicznej w Cieszanowie. Publikowała w kwartalniku „Aspekty filozoficzno-prozatorskie”, „Akancie” i „Poradniku Bibliotekarza”. Laureatka kilku ogólnopolskich konkursów w dziedzinie poezji i prozy. Debiutowała jako laureat w konkursach. Laureatka XII edycji Krajobrazów Słowa. W 2013 roku opublikowała debiutancki tomik „Data ważności”.

czochradła na zwierzęta

badają nasze terytorium. wyczesują jak rysie. włos puka
w czoło. wie o nas wszystko chociaż dzieciństwo oblepiły

gnidy. organizują przestrzeń. montują pułapki. materiał
badawczy posiada dwie twarze. dobre intencje często mają
za długie pazury. rysują tarczę budzącego się
zegara. rozniecają prywatne piekło i to nie jest gra

wstępna. za dużo o nas wiedzą. monitoring nie umiera
a rozmnaża pamięć. nie można go kopnąć. kalendarz
podtrzymuje ściany. są wszędzie.

puchną.

sensacja czy manipulacja

umrę. tak. pewność morduje nadzieję. wydziobuje
jej oczy. z nimi też trudno zobaczyć nowe szaty
króla kupione na wyprzedaży i to jeszcze na kredyt.
przecież nie można co roku liczyć tylko na nowe
skarpetki pod choinkę. wzorek może uciskać

palec. maskarada. dzieci makowskiego mogą zginąć
w ogniu. historia zna takie pogrzeby. nawet czapek
nie będą musieli ściągać. jęzory rozbiorą bryły. zniknie

nagość. pojęcie stworzone przez człowieka. pora na klon
mamuta. zamrożone zwłoki ukryły ciekłą krew.

zejście sprowadza do nicości z trudem wyciosane
godziny.

narządy na miarę

ból rozpyła gaz. komórki zamknięte. przymierają
głodem. zegar w panice zatrzymuje wskazówki.
niech ktoś wydrukuj oskrzela! krzyk rośnie jak baobab.
nie można go objąć w pojedynkę. drukarka 3D udaje

że śpi. codziennie ten sam fałszywy dźwięk atakującej

utopii. otwieram wytrychem drzwi poczekalni.
chcę zamordować lęk. projektor rzuca w ekran kości
Golluma. czas *gra z nim w zagadki* a jego niebieskie
oczy dziurawią oddech rozstaniem.

podsluchuję pytanie: *gdzie odłożono jutro?*

znam odpowiedź. widzę. szybuje na rowerze
w powietrzu. nie dosięgnę go
z ziemi.

wyalienowane ściernisko

prześwietlona ostatnimi promieniami słońca
z pamięcią wklejoną jak lizak w dziecięce włosy
łowię oddechy w przyczepione do palców niebo
by rozrzucić po najeżonej skibami glebie.

wypatruję fioletowych cieni pełznących za krojącym
łono pługiem niczym w orce Wyczółkowskiego.
z premedytacją podglądam nagie bruzdy.
jutro bez mycia zasną w nich gorzkie spaliny.

zapatrzona w bezdomność *wczoraj* widzę jak kręci
gałką *the radio* panicznie szukając znajomej melodii.
pokrzywy zakorzenione w nowoczesności parzą
wspomnienia. bąble są jak ślepe plamki które rosną

bez nawozu

okiennice z jutra

macham packą na muchy w kierunku nadlatującej
gazety. kompas skierowany na aktualności. słaby na
rozpałkę. morderstwa gwałty śmierć w rękawiczkach
i tak nie chuchają na wskazówki.

między wersami wymierają sępy. podrzucamy im padlinę.
zwierzęta leczone lekiem przeciwbólowym. infekcja
świadomością dziecka. gdy dorośnie otrzyma e-maila *brak*
odchodów.

to nie Indie ale potykam się o szczury. mają ogony zaplątane
o partykułę *nie*. powoli odgryzają litery. nie będą głodne.
eksplozja popularności ubija wściekлизnę.

jestemy jak maska pośmiertna Dantego wystawiona
w przeszkolonej skrzyni we Florencji.
czytanie ze zrozumieniem.

niepotrzebne.



XXIII Konkurs literacki

Krajobrazy Słowa

Kamil Kwieciński

godło „fińska palma”

Wyróżnienie w dziedzinie poezji

Kamil Kwieciński

Student psychologii na warszawskim UKSW. Laureat IX edycji Rypińskiego Albumu Poetyckiego, konkursu na scenariusz teatralny lub filmowy dla dzieci i młodzieży „Nie tylko na scenę”, IV edycji konkursu literackiego „Śląski Shakespeare”, zdobywca III miejsca w konkursie „O Wachlarz Wilhelminy” oraz w VII OKP „O Granitową Strzałę”. Wyróżniany w kilkunastu innych konkursach, zarówno za poezję, jak i prozę. Lubi długie spacery i rozmowy o niczym. W czasie wolnym zajmuje się przede wszystkim pracą (pracuje nad swoim lenistwem). Miłośnik dramatów Samuela Becketta i poezji T.S. Eliota.

Mów

Nie przestawaj mówić

Moja matka była smutną kobietą

Mój ojciec był złym człowiekiem

Byłem smutnym i złym dzieckiem

Mów jeszcze

Rozumiem twoje niezrozumienia

Na czwarte urodziny dostałem pieska

Który przez całą noc płakał

A ja bałem się spytać dlaczego

Poza tym jesteś naprawdę piękna

Mów jeszcze

Lubię zwiedzać twoje niepokoje

Obcować z twoim zagubieniem

Kłaść się z tobą na dnie duszy

Mów jeszcze: tej nocy

Z podziału ciemności wyłoni się

Miłość.

Nasze borderlajny

W życiu każdego strudzonego człowieka przychodzi moment,
kiedy krojenie chleba zamienia się w czynność kontemplacyjną.
Strudzony człowiek kroi chleb i mówi sobie, że jest człowiekiem.
Ma przecież rodzinę. Kochanka. Przyjaciół. Psa,
kredyt, czwórkę do kanałowego, dwa dni zaległego urlopu,
kartę multisport, zniżkę na kurs językowy, darmowe rozmowy w sieci,
nadciśnienie, nadwrażliwość, nadgodziny, obowiązek
wyborczy, małżeński, człowieczy, psi...

(Wąski promień słońca pada na deskę do krojenia.
Ostrze noża połyskuje w nim dziwnie
jak lekarstwo na pewność siebie).

Wierzyłem że odnajdę strumień
który nazwę świadomością
– odnalazłem strumienie nienazwanych łez

że poznam miłość
która będzie ostatnią
– poznałem miłości które były pierwszymi

że zmienię fragmenty listu
w którym prosiłem żeby wróciła
– zmieniłem zdanie

że oczaruje mnie rzeczywistość
– rozczarowałem się

Teraz nie wierzę
Nie poznaję
Nie zmieniam
Nie czaruję

Myślę: takie mamy czasy
że zawsze w którymś się znajdziesz
nie ma wyjścia

trzeba żyć choćby po trochu
przyglądać się rogowaceni naskórka
słuchać narastania ciszy po słowach
i pamiętać o sobie: osobie
zbyt prostej na całą zawłość świata

Nie zabieraj autostopowiczów bo powiedzą ci kim jesteś

Miała trzynaście lat.

Przed trzema dniami wyszła z zakładu poprawczego
dla dziewcząt w Katowicach.

Siedziała cztery miesiące za rozbój i kradzież.

Wbrew pozorom nie było jej tam źle.

Nie obcięli jej włosów

nie zabrali ubrań ani wisiorka

który znalazła w szatni po lekcji wfu

nie oblewali jej lodową wodą

i nie kazali pokazywać cycków

- kiedyś podobno tak było ale to kiedyś –

Przez pierwszy tydzień

wszystkie posiłki oddawała Klaudii i Marlenie.

Później zaprzyjaźniła się z nimi.

One też siedziały za kradzież

i w ogóle były do niej podobne:

kochały się w Rynie Goslingu

i marzyły o podróży dookoła świata.

Rozmawiali z nią różni dorośli.
Wszyscy byli uprzejmi i mądrzy
ale najbardziej lubiła panią Zosię
pulchną kucharkę o różowych policzkach.
Pani Zosia często ją chwaliła
mówiła że wcale nie jest złym dzieckiem.

Wypuścili ją tydzień przed Bożym Narodzeniem
i było jej zimno bo nie miała kurtki.

Matka leżała na podłodze przykryta kocem.
Była zupełnie pijana ale jeszcze miała siłę
żeby rzucić w nią butelką
- trafiła w obojczyk o tu niech pan zobaczy –
i kazać wypierdalać bo jak nie to ją zabije.

Chce dostać się do Warszawy bo mieszka tu Marek
syn pani Zosi którego ta co roku odwiedza
na święta.

Dziękuję panu jest pan dobrym człowiekiem
powiedziała i wybiegła na śnieg.

aby oddać słowami stan w jakim znajduje się człowiek
siedzący w pustym pokoju gdzie wszystko pachnie jak
osoba która obiecywała że nie odejdzie a jednak odeszła
należy przede wszystkim pamiętać że słowa

wrócić.

